Borzysław



„CO MORDKO POWIEDZIAŁ"

WARSZAWA 1913

NAKŁADEM „NARODU"

DRUK L. BRUŚ, NOWY ŚWIAT 66.

CO MORDKO POWIEDZIAŁ?

Historyjki wielce ucieszne, a zarazem bardzo smutne.

Z własnej obserwacji
zebrał i ku uciesze oraz
zbudowaniu bliźnich

podał

BORZYSŁAW.

WARSZAWA.
Skład główny w Redakcji „NARODU“ Chmielna 23.
1913.

Druk L. Bruś, Nowy-Swiat 66.



PRZEDMOWA.

Słowo się rzekło... i trzeba dotrzymać, choć czasem i kłopot nielada jest z tego powodu. W takiem położeniu kłopotliwem znalazł się niżej podpisany. Kiedyś, w przystępie dobrego humoru, przyrzekłem, że zebrane w niniejszej książce humoreski kolegi Borzysława wstępem opatrzę... A dziś natchnienie nie przychodzi, i próżno gryzę koniec obsadki i stukam się w czoło, aby zlepić coś takiego, co licowałoby z treścią książki, to jest tryskało niekłamanym humorem. Żałuję bardzo, że nie jestem współpracownikiem którego z podrzędnych pism humorystycznych... Zlepiłbym wtedy jaki koślawy na wszystkie strony wiersz, przystrajając go w rymy częstochowskie — i byłaby humorystyka gotowa. Niestety, nie jestem nim, muszę przeto uciec się do nudnej prozy i prozą ów obiecany wstęp napisać.

Zacznę od zaprezentowania Uroczym Czytelniczkom (czytelniczki wszystkie są urocze, zwłaszcza te, które za gotówkę niniejszą książkę nabędą) i Zacnym Czytelnikom (innych niema, tylko zacni, bo niecni książki tej nie kupią) osoby autora.

Jak to już wiadomo z karty tytułowej niniejszej książki, nazwisko rodowe autora jest Borzysław. O imię mniejsza, w każdym razie jest ono nie powszednie. Z dalszych kartek książki domyśleć się łatwo, że autor jest ziemianinem, posiadaczem większej własności rolnej, czyli jak mówią nasi w Galicji — jest obszarnikiem. Gdzie znajduje się majątek p. Borzysława? — zapytają Szanowni Państwo. Ja sądzę, że niezaspokojenie tej prostej ciekawości nikomu nie zaszkodzi ani na zdrowiu, ani na majątku, ani na urodzie, dlatego też nie zaspokoję jej; powiem tylko, że napewno nie na księżycu, ani nawet na tej uroczej Wenus, co to czasem tak pięknie i złudnie na niebie świeci, że przez gorliwych stróżów bezpieczeństwa brana bywa za tajemnicze aeroplany nieprzyjacielskie, oświetlające reflektorami elektrycznymi miejscowości nadgraniczne.

W majątku swym p. Borzysław gospodaruje bardzo wzorowo, t. j. stosuje się całkowicie do wzorów, pozostawionych przez dziadów i pradziadów, a więc stosuje trzypolówkę, ma piękne konie cugowe, o fornalskie szkapy nie dba,

zboże na pniu sprzedaje, urządza u siebie głośne w okolicy polowanka, po których bywa suta kolacja, podlana obficie węgrzynem; przyjmuje u siebie sąsiadów, z którymi odbywa „posiedzenia" przy zielonym stoliku; sam często wyjeżdża, a przedewszystkiem ma w swym majątku przyjaciela, powiernika i opiekuna w osobie pachciarza Mordki, któremu głównie ukazanie się niniejszej książki zawdzięczamy. Bo chociaż spisał to wszystko sam p. Borzysław, jednak nie napisałby on tego, gdyby nie podsuwał mu tematów Mordko, a właściwie gdyby on z całem zaufaniem nie wypowiadał swych głębokich myśli.

Ja osobiście jestem przekonanym zwolennikiem bojkotu żydów, ale niema reguły bez wyjątków, i w tym razie Mordkę czynię wyjątkiem i bojkotować go nie radzę. Niech tam gospodaruje z p. Borzysławem, niech mu w pracy pomaga, dopóki uzna za stosowne trzymać go (t. j. p. Borzysława) w jego ojczystej Borzysławce. Do tego czasu może upłynąć rok jeden, dwa, a może nawet trzy lata, a my na tem na czysto skorzystamy, bo p. Borzysław w dalszym ciągu będzie rozmowy z Mordką do publicznej wiadomości podawał. A może po upływie tego czasu Mordko swemu przyjacielowi p. Borzysławowi powierzy u siebie w Borzysławce pacht i będzie w dalszym ciągu prowadził z nim mądre rozmowy, które dawny dzie-

dzic, wyniesiony do godności pachciarza, spisze i do wiadomości ogólnej poda.

„Dobry żart tynfa wart“ — mówili przodkowie nasi, i mówiąc to mieli najsłuszniejszą pod słońcem rację. Ja dzisiaj powiem to samo, tylko że jako „tynf“ wyszedł już z mody, zastąpię go monetą w kraju kurs mającą i zawołam z całej siły: Macie tu oto Urocze Panie i Zacni Panowie nie jeden, ale całą masę żartów zdrowych, jędrnych, goryczką satyry społecznej zaprawionych i śmiało moglibyście dać za nie okrągłego srebrnego rubelka, ale jako że książka niniejsza natrafiła na mocno humanitarnych wydawców, którzy nie chcą zbytnio nadwerężać Waszej kieszeni, śmiało możecie wyłożyć za dowcipne opowiadania Mordki po trzy złote i groszy dziesięć, a jeżeli wolicie to po pół rubla lub pięćdziesiąt kop.

Bierzcie tę zacną książeczkę i czytajcie z taką samą przyjemnością i pożytkiem, z jaką czytał ją od deski do deski

STANKO.

Trzy zagadki.

Siedząc pewnego poranka przy biurku, byłem zajęty myślami, skąd tu wziąć grosza na zapłacenie zaległych podatków, gdy naraz drzwi się cichutko uchyliły i ujrzałem w nich najpierw koniec okazałej kręconej ryżawej brody, potem koniec zakrzywionego jastrzębiego nosa, potem świderkowate pejsy a nad nimi aksamitną jarmułkę, a w końcu stanęła przedemną wspaniała postać opiekuna mego sadu, wielkiego amatora mych ryb w stawie, stróża mego lasu, zarządcy mych łanów, miłośnika i znawcy mych krówek, cyrulika mych owiec, słowem ukazał się w całej swej okazałości mój serdeczny przyjaciel, Mordko Zauwel ben Mojsie Feinpikes.

— Przepraszam, że może wielmożnemu panu przeszkadzam — rzekł na wstępie Mordko — ale widząc, że wielmożny pan tak sobie siedzi w cichości i spokojności, chciałem mu zadać jedno myślenie — a nawet dwa myślenia i po tych dwuch myśleniach, jeszcze jedno myślenie.

— Więc mów, kochany mój Mordko — rzekłem.

— Niech mi wielmożny pan na pierwsze dwa myślenia odpowie: kto to był, co się nie rodził i sobie umierał i kto to był — co się rodził i sobie nie umierał?

— Tak odrazu trudno zgadnąć — rzekłem.

— No i co?... Nie zgadnął wielmożny pan?—to ja mu powiem. Nie rodził się a umierał sobie — to Adam, a rodził się i nie umierał sobie — to Eljasz.

— Dobrześ powiedział.

— A teraz na trzecie myślenie ja się wielmożnemu panu zapytam:

— Jakie trzy rzeczy na świat się rodziuły i nie umierały, a u państwa, w Polsce, te rzeczy nie rodziuły się, nie rodzą i nigdy nie będą się rodzić i umierać?

— Żebym trzy lata myślał, mój Mordko, to nie będę wiedział.

— Ja wiem, przez obrazy wielmożnego pana, że wielmożny pan czasem to wie, co nie potrzeba — często nie wie tego, co potrzeba, ale też bardzo często pan wie to, że nic nie wie i nie wie tego, coby kto inny o tem dawno wiedział, jeżeli by chciał wiedzieć to, co my, żydki, wiemy.

— Otóż ja wielmożnemu panu powiem, że u państwa, w Polsce, nie rodziuły się, nie rodzą i nigdy nie będą się rodzić i umierać —

trzy rzeczy, bez których życie — to nie życie— a temi rzeczami są: oszczędność, akuratność i zgoda.

Po tych słowach, mój przyjaciel, Mordko Zauwel ben Mojsie Feinpikes, pogładził swą kręconą brodę, poprawił na głowie aksamitną jarmułkę, potem nisko mi się ukłonił i cicho wyszedł z mieszkania.



Pokaleczony język.

Kiedy mój serdeczny przyjaciel, Mordko Zauwel ben Mojsie Feinpikes miał na myśli jąką ryzykowną spekulację lub też korzystny a niecierpiący zwłoki interes, wtedy twarz jego przybierała śmiejąco-płaczącą minę, oczy zamykał, lewą ręką drapał się zawzięcie za pejsami, prawą trzymał się za wątrobę, przytem kiwał się na wszystkie strony. Kiedy zaś mój Mordko wychodził zwycięzko i z dobrym zyskiem z jakiejś spekulacji — postać jego prostowała się, na twarzy przebijał się promień zadowolenia, wtedy zwykł był łaskawie się uśmiechać do swej żony, Sury Ruchli, dawał parę groszy swym dzieciom na „kerłech“ (ziarnka dyni), a przeliczywszy dokładnie swe „cyces“ i zapaliwszy swą gdańską porcelanową fajkę o kręconym cybuchu, wybierał się w odwiedziny do dworu.

— Kłaniam się wielmożnemu panu! Kłaniam się jako przyjaciel swemu dobrodziejowi! — rzekł Mordko, ukłoniwszy mi się przed gankiem.

— Jak się masz kochany Mordko! Ale nie spal swej brody! — rzekłem, widząc, jak, po ukłonie, żarzący popiół wysypał się z fajki na koniec brody. — Przy tak długiej brodzie nie trudno o wypadek.

— To wielmożny panie nie byłby wypadek, tylko mały przytrafunek.

— Ogól sobie brodę, to nie będzie „przytrafunków".

— Żyd bez brody być nie może. Żyd bez brody, kawaler bez długów, panna bez posagu, a kot bez ogona — to jest nic — to są takie rzeczy, co nie tylko nie są zdatne na świat, ale i koło świata!

— Gdzieś ty to wszystko wyczytał?—zapytałem.

— Trochę to ja czytałem, trochę słyszałem, trochę widziałem, a resztę to nasze żydki mi powiedzieli. Jeżeli ja wyjaśnię od końca do początku, a potem od początku do końca, to wielmożny pan trochę zrozumie.

— No, mów, słucham.

— Kot bez ogona — to już nie jest kot, tylko zając; panna bez posagu nie zapłaci długów kawalera, a kawaler bez długów, to jest dla nas tak potrzebny, jak rosnący i nie ścięty chojak w lesie. A nakoniec żydek bez brody to jest podobny do pańskiego dziecka z pokaleczonym językiem.

— Mój Mordko, albo pleciesz głupstwa, albo ja ciebie nie rozumiem?

— Żeby wielmożny pan zrozumiał, to mu powiem, co ja na swe oczy widziałem i co ciągle nasze żydki widzą. Temu będzie kilka lat, jak byłem pachciarzem u jaśnie wielmożnego pana Hulajskiego w Błotnej Wólce; tam wtedy była angielaczka — taka panna, co uczyła dzieci zagranicznego gadania. Jak ta angielaczka zaczęła uczyć pańskie dzieci, to te dzieci nie rozumiały potem, co dworska dziewka do nich mówiła, co gadał ekonom, co ja gadałem, co jaśnie pan Hulajski gadał i nie rozumiały nawet tego, co ksiądz proboszcz, jak przyjechał do dworu, do nich gadał. One tylko to rozumiały, co ta angielaczka do nich gadała.

Ja się raz pytam tej angielaczki, dlaczego ona tak te dzieci uczy, że one nic nie rozumieją, jak kto do nich gada, to ona mi mówi: „ty głupi jesteś, Mordko, ty tylko wiesz jak mleko fałszować“!

Na te słowa ja jej nic nie odpowiedziałem, bo taka angielaczka musi być bardzo mądra, kiedy samemu jaśnie panu dziedzicowi mówi „ty“.

Ale co do fałszowania mleka, to ona nieprawdę powiedziała, bo jak krowa mało mleka daje, to ja na kwartę mleka dolewam kwartę wody — czystej stawowej wody. A woda prze-

cież nie jest trucizną. Jak człowiek wypije kwartę mleka, a potem zechce wypić kwartę wody, to może odrazu wypić dwie kwarty wody z mlekiem.

— Co do tego, że u państwa uczą małe dzieci zagranicznego gadania — to ja wielmożnemu panu powiem: U nas, żydków, małe dziecko najpierw musi się uczyć naszego języka, potem musi przeczytać „Tałmud Babyle", „Szas", „Rebejne Bechaje" i inne nasze książki; ono powinno wiedzieć kto to był Awrum (Abracham), Icek (Izaak), Jankiew (Jakób), Ejsew (Ezaw), Szlojme mełach (Salomon), Szimsie a giber (Samson i t. d. U państwa uczą dzieci najwpierw zagranicznego gadania, a potem, po trochu takie dziecko uczy się od dziewek i fornali polskiej mowy. A taki język, pokaleczony, przez angielaczki — to nie język.

Mój dziadek jeszcze znał państwa jenerała co to się nazywał Kopciuszko, a jak ja się zapytałem jaśnie panicza kto to był Kopciuszko — to on mi mówił, że to był wyścigowy koń u jaśnie hrabiego z Wydmuchanej Wólki.

U nas, u żydków, dziecko od małego uczą naszego języka, aby ono wiedziało, że jest żydem, a jak będzie starszy, to nie wolno mu golić brody, aby był znak że to żyd. U państwa z maleńkości uczą zagranicznego gadania, aby to dziecko wiedziało, że jest Anglikiem,

Francuzem lub Niemcem, a na stare lata nawet dobrze języka swoich dziadków nie znało.

W naszym talmudzie stoi napisane: „Pas zykonejchem łoi jejganejchem“! Co znaczy: „Nie będziesz ucinał końców twojej brody“! U państwa powinno być napisane: „Nie będziesz małym dzieciom kaleczył języka przez angielaczki“.

A wtedy bez obrazy wielmożnego pana, jak nasz żydek z brodą będzie żydkiem, tak i dzieci jaśnie pana Hulajskiego będą Polakami.



Koniec świata.

Pewnego dnia dał się słyszeć głośny turkot bryczki i gwałtowne szczekanie psów przed dworem, a gdy wyszedłem przed ganek, spostrzegłem chudą szkapę, zaprzężoną do wypchanej słomą biedki, a z niej wysiadł z pośpiechem mój serdeczny przyjaciel, Mordko Zauwel ben Mojsie Feinpikes.

— Kłaniam się wielmożnemu panu!—rzekł żyd i drapiąc się za pejsami, ciężko zaczął wzdychać.

— Co ci się stało, Mordko? — zapytałem.

— Oj! Nieszczęście, wielmożny panie! Byk się zerwał z łańcucha, ogon kręci mu się jak śmigi u wiatraka, rogami rozpędził pastuchów, ślepie wywrócił do góry nogami i leci na złamanie karku, jak djabeł!

— Co ty pleciesz, Mordko?!

— To jeszcze nie koniec, wielmożny panie. Ja słyszałem w mieście od żydków, że ogromna ryba puściła ogon swój z gęby i pewnie będzie niedługo koniec świata. Żeby tak

moje wrogi doczekali tego, żeby ich „Małche Muwes“ (śmierć) zabrała, żeby im wszystkie bebechy wywróciło sękatym kołkiem z ogromnem boleniem.

— Jaki byk? Co za ryba?—Nie rozumiem cię, Mordko?

— Jaka to bieda, że wielmożny pan nie zna naszych książek. Tam jest cała mądrość, tam jest taka światłość, że sto par łojowych świec nie zaćmi takiej światłości. Ja sam, w szabas, jak zjem kawałek faszerowanego szczupaka, to siadam nad Talmudem i czytam te mądrości. Tyle jest tam mądrości — tyle głębokości — że nigdzie wielmożny pan nie znajdzie. Dużo tam jest rzeczy napisanych, że jak ich więcej czytam, to więcej nie rozumiem. Ale właśnie w tem jest największa mądrość!

— Lecz cóż ma za związek twój Talmud z bykiem i rybą?

— Otóż ja wielmożnemu panu powiem, co to znaczy. Jak przyjechałem do miasta z mlekiem i gęsiami, to zaraz podszedł do mnie kulawy faktor, Całka i mówi: „Szulim lajchem Mordko!“ Ja mu odpowiedziałem na przywitanie i pytam się go, co słychać w mieście. On mi powiedział, że w dzisiejszej gazecie stoi napisane, że Duma zatwierdziła u nas samorząd — ale wie wielmożny pan jaki samorząd? Taki, że tam żydki mało będą znaczyć. Całe

miasto napadło od tego wielkie trzęsienie! Koło domu „cadyka“ pełno było żydków i czekali, co powie na to „cadyk“. Po chwili wysłał „cadyk“ żydka, co się nazywa „Maged“ (półcadyk) i on powiedział: „Byk się wyrwał od pastuchów, leci na złamanie karku i ogromna ryba puściła z gęby swój ogon!“ — Potem on zawołał „Szilklaper”, aby zwoływał żydków do bóżnicy modlić się, żeby nie było końca świata. U nas w „Gomure“ stoi, że jest duża ryba, co się nazywa „Lewijusyn“. — Ona jest skręcona i ogon swój trzyma w gębie, a na niej stoi świat. Jak ona puści ten ogon, to będzie koniec świata.

My żydki, to jakby głowa tej ryby — a ogon jej, to inni ludzie. Póki głowa rządzi i trzyma w gębie ogon, to jest porządek, ale jak w samorządzie będzie tylko rządzić ogon, to będzie bardzo źle. U nas w „Gomure“ stoi, że jest taki byk, co się nazywa „Szore Bore”. On się pasie na siedmiu wyspach i zjada z tysiąc gór siana przez jeden dzień. Ten byk, to jakby inni ludzie, a pasą jego nasze żydki, ażeby jego tak upaść, byśmy mieli co jeść. Jak ten byk zechce się paść, gdzie jemu się podoba, to co będzie dla nas żydków? U państwa w Polsce był król, co się nazywał Kazimierz. Ten król miał trzy żony i te żony tak jemu zakręciły głowę, że on mało nie dostał kołowacizny. Wtedy jemu poradził nasz „cadyk” z Gó-

ry Kalwarji, żeby on sobie wziął za żonę z naszych żydówek. Ten król jego się posłuchał i on miał u siebie żydówkę, która jemu odkręciła tak głowę, co on się zrobił taki mądry, jakby miał dziesięć głów na jednym karku. Potem ten król widział, że u niego w królestwie kiepskie jest rządzenie, to jemu ta żydówka poradziła, żeby on kazał rządzić naszym żydkom. On jej się posłuchał i wszyscy ministrowie, sekretarze, generałowie — to byli nasze żydki. Oni tak rządzili dobrze, że król jadł sobie spokojnie faszerowanego szczupaka i zagryzał obwarzankiem i każdy żydek miał ogromne pałace, a koło tych pałaców duże ogrody, w których rosła cebula taka gruba, jak za przeproszeniem gospodyni u wielmożnego pana. Ten król potem nazywał się Kazimierz Wielki, a jego ojciec nazywał się Łokietek, to jest mały. A wie wielmożny pan dlaczego on się nazywał Łokietek? Dlatego, że on się nie słuchał żydków i przez to nie miał takiej mądrości. Dlatego i teraz jak zaprowadzą samorząd bez nas żydków, to będzie bardzo źle i może być koniec świata. Ale nasz „cadyk" nam mówił, że dopóki chłopi będą słuchać się żydków i jaśnie panowie z całą grzecznością i dobrocią będą przyjaciółmi dla żydków, to końca świata może jeszcze nie być i byk wróci na swoje pastwisko, a ryba będzie tylko z kawałkiem ugryzionego ogona.

Mordko o polskim handlu.

Po kilku miesiącach niebytności, powróciłem do domu i, po sprawdzeniu wszystkiego w gospodarstwie, znalazłem nieporządki i straty, jak zwykle bywa, gdy się osobiście czegoś nie dopilnuje. Ucieszyła mnie jednak wiadomość, że w poblizkiem miasteczku jest założony polski sklep p. Piernikiewicza i spółkowy sklep spożywczy.

No! — pomyślałem sobie. — Teraz będę miał chociaż doborowy towar, rzetelną wagę, uczciwą cenę! — A dowiedziawszy się, że mój pachciarz jedzie do miasteczka na targ, kazałem go zawołać.

— Aj waj! — krzyknął mój przyjaciel, Mordko Zauwel ben Mojsie Feinpikes, gdy mnie zobaczył. — Co za radość! Jaka delikatna przyjemność dla mnie, że wielmożnego pana widzę! Jak ja mówiłem „Kedysze“ albo mówiłem „Borchy“, to zawsze się potem modliłem, aby wielmożny pan szczęśliwie wrócił do nas.

— Dziękuję ci, Mordko, za pamięć! — rzekłem! — Ale podobno jedziesz do miasta, to

mi przywieziesz różnych sprawunków; ale koniecznie cię proszę, abyś kupił wszystko w polskim sklepie p. Piernikiewicza, a czego nie będzie, to trzeba kupić w spółkowym sklepie spożywczym.

— Już tych sklepów niema! — odrzekł z zadowoleniem żyd.

— Co ty mówisz?! Dlaczego? — zapytałem.

— Ja już kiedyś wielmożnemu panu mówiłem, że w każdym interesie potrzebna jest: oszczędność, akuratność i zgoda. A w handlu potrzeba jeszcze dobrej głowy.

— A więc tego nie było u nich i sklepy zbankrutowały? — zapytałem.

— Zgadł wielmożny pan! — zawołał żyd i tak dalej mówił:

— Pan Piernikiewicz założył ogromny sklep. Kazał wymalować piękny szyld, wyzłocić lady i półki. Powstawiał ogromne szyby i różnego towaru było pełno.

Każdy z wielką radością chodził do tego sklepu. Tam były takie porządki, jak w ogromnem biurze. Jak kto chciał co kupować, to musiał najpierw prosić jednego pana eleganta, aby mu towar zważył; potem musiał prosić drugiego pana, aby mu zapakował; trzeci pan dawał mu karteczkę do kasy i tam siedziała

taka panna w kapeluszu, z dużym makiem na głowie, to ona przyjmowała pieniądze, a druga panna, co miała na sobie bluzkę w czarne kropki i białe paski — wydawała reszty. Sam pan Piernikiewicz parę godzin siedział tylko w sklepie, aby przeczytać gazety, a potem chodził sobie grać w bilard, w karty, albo do teatru.

Pani Piernikiewiczowa była chora, bo ona miała taki wrzód na sercu i, żeby ten wrzód jej pęknął, to ona jeździła z kapelmajstrem od huzarów leczyć się do Karlsbadu.

Córki pana Piernikiewicza uczyły się śpiewania i grania na takiej katarynce, co się palcami przebiera; a mniejsze dzieci — wszystkie orzechy, pierniki i cukierki wynosiły ze sklepu na podwórze i rozdawały chłopakom. Wszystko to ogromnie kosztowało, a w takiem małem mieście trudno było wyżyć. Potem jak panu Piernikiewiczowi brakło towaru, to on brał od naszych żydków. Jak on nie miał czem płacić naszym żydkom, to oni mu nie dawali towaru i on zbankrutował. A teraz on jest pisarzem u Szmula w browarze i narzeka na państwo. A na miejsce sklepu nasze żydki założyli „Bismedresz“ (szkołę).

— A cóż się zrobiło ze spółkowym sklepem? — zapytałem.

— To było tak — zaczął żyd: — Parę miesięcy temu ksiądz proboszcz, doktór, paru urzęd-

ników, aptekarz, paru dzierżawców z okolicy, burmistrz i inni założyli sklep spółkowy. Piękny to był sklep. Jeszcze piękniejszy, jak u pana Piernikiewicza. Jak się weszło do niego, to można było zobaczyć dużo pięknych towarów. A w sklepie byli różni subjekci, kasjerki, kontrolerzy, buchalterzy, pisarze, woźni, był pan prezes, pani prezesowa, pan wiceprezes i pani wiceprezesowa, pomocnik pana wiceprezesa, było też z pięciu chłopaków, co pakowali, wiązali, zabijali w paki towar i był duży ruch. Jak kto kupował paczkę zapałek za dwa grosze, to te dwa grosze zaraz zapisywali na różne kartki, papiery, w książki różni panowie kasjerzy, buchalterzy, kontrolerzy, że papieru i atramentu wychodziło za sześć groszy. Ale wszystko byłoby dobrze, gdyby nie to, że wszyscy się ze sobą pokłócili.

A było tak: Pani burmistrzowa rozgniewała się na doktora, że był z wizytą wpierw u Fajgi, żydówki, a nie przyszedł zaraz do niej, jak posyłała po niego. Żona kasjera rozgniewała się na aptekarza, że zamiast dać jej lekarstwa od złagodzenia, dał jej od ciężkiej boleści. Pan burmistrz zły był na wszystkich za to, że go nie wybrali prezesem. A urzędnicy źli byli za to, że nie chcieli dawać im w sklepie na kredyt i prezentów na święta. A wszyscy byli źli na księdza proboszcza, że przyłączył do spółki chłopów. Dlatego też, po paru

miesiącach, sklep zwinięto i sprzedany został Ruchli Zając.

Ma ona teraz piękne towary: różne rodzynki, migdały, sardynki, śledzie i inne delikatesy i dobrze handluje.



„Blagosol“ d-ra Sheinkopfsona.

Kiedy mój fpachciarz i serdeczny przyjaciel, Mordko Zauwel ben Mojsie Feinpikes, wrócił z miasta i przywiózł mi listy i gazety, wtedy ja, przeczytawszy listy i różne nudne, a psujące humor zawiadomienia Towarzystwa kredytowego, wziąłem do ręki gazetę i, na pierwszej stronie, wśród różnych wyrysowanych pokrzywionych rąk, nóg i całych postaci ludzkich, przeczytałem głośno, aby mój Mordko słyszał, następujące ogłoszenie:

„Niebywała okazja! Cud dwudziestego wieku! Ratujcie swoje zdrowie! Wiele podziękowań! Patrzcie uważnie na korek i na dno flakonu z rysunkiem osła płaczącego! Inne flakony, sprzedawane w sklepach bez tej marki, uważajcie za podrabiane, z zawartością szkodliwego środka!

Doktór medycyny, astrologji, czartologji i czarno-białej magji, sir Pinkus Jojne Sheinkopfson, będąc poruszony do głębi serca bólami cierpiącej na różne choroby ludzkości,

i chcąc jej przyjść z pomocą, poświęcił dla niej całą swą potężną wiedzę, zdolności i doświadczenie i, po kilkunastoletnich trudach, próbach i mozołach, wynalazł cudowny proszek i pigułki, które to środki są pomocne i leczą radykalnie różne choroby. Środek ten jest nazwany przez sławnego wynalazcę — Blagosol'em.

Blagosol leczy reumatyzm, podagrę, ściśnięcie w kiszkach, głuchotę, ślepotę, suchoty, raka, wodną puchlinę, przedłuża życie człowieka, odmładza, służy na porost włosów i paznogci, a także Blagosol tępi szczury i myszy, jest radykalnym środkiem przeciwko pluskwom i pchłom. Blagosolem można srebrzyć stare platerowane łyżki, pobielać rondle i czyścić samowary.

Liczne podziękowania ze wszystkich części świata, a między innemi od cesarza Sahary i królów północnego i południowego bieguna.

Aby dać możność mniej zamożnym posiąść ten środek, dr. Sheinkopfson dostawia Blagosol po cenie kosztu. A mianowicie: 1 mały flakon 10 rubli, a duży 15 rubli. Adres: dr. Pinkus Jojne Sheinkopfson. London. 247".

— Cóż ty na to powiesz? — zapytałem Mordkę.

— Ja tylko to powiem wielmożnemu panu, że ten doktór Sheinkopfson to jest od naszych i on ma dobre „kepełe".

— Ależ, mój Mordko! — rzekłem — przecież to jest wyraźne oszukaństwo.

— Ja wielmożnemu panu powiem pod sekretem, jako dobrodziejowi i przyjacielowi, że cały świat stoi na oszukaństwie. Żeby nie było oszukaństwa, to dużo naszych żydków umarłoby z głodu. U państwa stoi napisane że świat się kręci. To nie prawda jest. Świat stoi na miejscu, tylko nasze żydki i nasi pomocnicy tak kręcą głowy innym ludziom, aby im się zdawało, że cały świat się kręci. Piszą w gazetach, że Włochy się biją z Turkami i innymi dzikimi ludźmi, aby zaprowadzić u nich swoją kulturę. A u nas nasze żydki jak widzą, że tej kultury u państwa jest tak dużo w głowie, że ona chce pęknąć, to oni, bojąc się, aby te głowy nie popękały, starają się wszystkimi siłami je ogłupić. Jak takie głowy będą ogłupione, to i nam będzie dobrze. Tam, zagranicą, takich ludzi, co mają takie „kepełe“ jak dr. Sheinkopfson, jest bardzo dużo i trudno, żeby jeden drugiego oszukał. Ale oni dobrze wiedzą i z nimi cały świat, że jak oni napiszą w państwa gazetach, to wszystek towar, co nic nie wart u nich, państwo kupią. Nawet ja teraz myślę, czyby nie było dobrze posłać mego Icka do tego doktora na naukę. On ma lepsze „kepełe“, jak nasz „cadyk“.

Ładny ptaszek ten pan Pukalski!

— Jeżeli to wielmożnego pana nie obrazi, to bym prosił o kieliszek gorzałki — rzekł pewnego razu mój przyjaciel, Mordko Zauwel ben Mojsie Feinpikes, trzymając się za wątrobę.

— I jeżeli łaska, to bym prosił o duży kieliszek, bo, ze zmartwienia, małego nie będę mógł wypić!

Kiedy Mordko wypił wódkę i zagryzł kawałkiem cukru, tak zaczął mówić:

— Jak wielmożnemu panu wiadomo, ten majątek, Kozie Nogi, co jest po sąsiedzku z majątkiem p. Pukalskiego, kupił na licytacji Szmul Zając. On jest kuzyn mojej żony. Pan Pukalski jest taki szalony człowiek, że jak tylko jaki żydek pokaże się w jego majątku, to on każe fornalom jego wypędzać i często bić z batem. On nawet, co nie słychać jest na cały świat, pachciarza u siebie nie trzyma. Otóż ten p. Pukalski, jak się dowiedział, że Szmul Zając kupił Kozie Nogi, to dwa miesiące chorował. A potem, co tylko mógł złego zrobić, to robił Szmulowi: zajmował mu bydło, konie, owce — nawet ze środka drogi, a chłopi wy-

pasali mu zasiewy, kradli drzewo z lasu i ogromne miał szkody. A to wszystko pewnie z namowy. Szmul raz przyjechał do mnie i bardzo narzekał na p. Pukalskiego.

— Słuchaj, Szmulku! — rzekłem do niego — ja tobie powiem. P. Pukalski pewnie obraził się na ciebie za to, że tobie, gdy kupiłeś majątek, wypadało, jako obywatelowi do obywatela i szlachcicowi do szlachcica, pojechać do niego i złożyć mu swoją wizytę.

— On mnie usłuchał i wie wielmożny pan, co się stało? Otóż ja opowiem.

— Kazałem Wojciechowi, fornalowi —tak mówił Szmul — założyć parę kasztanowatych kobył do kamieniarki i pojechałem z wizytą do p. Pukalskiego. Jak przyjechałem i wszedłem do dworu, to p. Pukalski siedział na kanapie i czytał gazetę. Ja mu mówię: „Kłaniam się panu dziedzicowi! Kłaniam się panu sąsiadowi"! On nic na to. On siedzi — ja stoję. Ja stoję — on siedzi. Wtedy ja wyszedłem przed ganek, kazałem Wojciechowi wywróćić kamieniarkę i pojechaliśmy do domu. A po drodze Wojciech mi mówił, że pewnie pan Pukalski się obraził, że ja z pierwszą wizytą pojechałem do niego w kamieniarce. Dlatego też na drugi dzień kazałem Wojciechowi założyć do karety cztery kasztanowate kobyły, włożyć na siebie herbową liberję i kazałem mu założyć na bat taką pukawkę, jak to oby-

watele mają, aby, jak Wojciech wyhuknie z tej pukawki — pan Pukalski oderwał swoją głowę od gazety. Jak przyjechaliśmy przed dwór i Wojciech wyhuknął z tej pukawki, to zaraz pan Pukalski wyjrzał przez lufcik, a gdy wszedłem do dworu, to on, jak indyk rzucił się na mnie i krzyknął chłopskim głosem:

— Czego chcesz — ty, szachraju?!

Po tych słowach, Szmul wskoczył do karety i pojechał galopem do domu i mówił mi, że wszystkie bebechy mu ścisnęło i wątroba tak mu się trzęsła, jak szczupak w galarecie.

Jak to może być, żeby szlachcic do szlachcica, sąsiad do sąsiada i obywatel do obywatela — mówił „ty“.

— Teraz właśnie przyszedłem do wielmożnego pana opowiedzieć o tym wypadku. Przecież Szmula Zająca wszyscy obywatele znają, szanują i na pierwszem miejscu sadzają. On jest dla nich jak dobrodziej. Bez Szmula Zająca żaden dziedzic nie może ruszyć jednym palcem. On jest całą pociechą i szczęściem w okolicy. A to tylko ten pan Pukalski taką fanaberję sobie wystroił. Ale jak żydki się do niego wezmą, to on będzie piszczał, jak ślimak w skorupie.

Ja bardzo proszę wielmożnego pana, aby podał to do gazety, żeby cały świat wiedział, co to za ptaszek jest pan Pukalski.

Pieniądz — to grunt.

„Nie chciała góra przyjść do Mahometa, więc Mahomet poszedł do góry“. Parę dni czekałem niecierpliwie na Mordkę, a nie mogąc się doczekać, sam udałem się do niego. Była to godzina ranna. Pachciarza swego zastałem przy modlitwie. Mordko Zauwel ben Mojsie Feinpikes ubrany był w „tałes“ i miał przywiązane do czoła „Twyłem“. Jak mówił „Kedysze“, to podskakiwał do sufitu, a jak mówił „Borchy“, to zginał się do samej ziemi i wszystkie spekulacje, terminy różnych licytacji i obliczania procentów i zysków uciekały mu wtedy z głowy.

— Co za gość do mnie się zjawił?! — zawołał, po skończonej modlitwie, Mordko. — Pewnie ważny jest interes, kiedy wielmożny pan przyszedł do mnie.

— Musisz mnie poratować, Mordko!—rzekłem po chwili. — Towarzystwo chce mi urządzić licytację i potrzebuję pieniędzy.

— Szmul Zając może wielmożnemu panu pożyczyć, ale będzie potrzebował dużego procentu.

— Bój się Boga, Mordko! Dlaczego wy żydzi bierzecie takie ogromne procenty!? — zawołałem.

— Jak wielmożny pan posieje kilkanaście korcy zboża, to modli się, aby zebrał ze dwieście korcy. Tak i my, żydki, chcemy, aby z naszego kapitału był duży procent.

— Ale przecież we wszystkich Towarzystwach i kasach bardzo mały jest procent i nie drą tak ludzi ze skóry, jak żydzi.

— Widzi, wielmożny pan, te wszystkie Towarzystwa nie obracają tak pieniędzmi, jak my, żydki. U nas pieniądz musi prędko się obracać i każdy dzień musi dać duży procent. Jak pieniądz by siedział w jednem miejscu na małym procencie, to byłby żaden interes. Przecież kurę sadza się nie na jednem jajku, a na kilkunastu; z gęsi obrywa się nie jedno pióro a całe tysiące, jabłonka rodzi nie jedno jabłko, a dziesiątki i setki. A cóż dopiero pieniądz powinien nam dać?! „Szlojme mejłach“ — był mądrym, „Szimsie a giber“ — był mocnym, a „Kejrech“ — był bogatym, ze dwieście par wołów ciągnęło same tylko klucze od jego skarbów. Ale największy od nich wszystkich jest, był i będzie — pieniądz. Pieniądz — to, wielmożny panie, jest — mądrość, siła i bo-

gactwo! Pan Hulajski stracił dla jednej panny od baletu cały swój majątek i ona zostawiła mu tylko laseczkę, muszkietery i glicerynowe mydło. Pan Dmuchalski z Kaczych Dołów przegrał wczoraj cztery konie i powóz w karty. Pan hrabia z Mysiej Dziury pożyczył od żydków pieniędzy i kupił konia za dziesięć tysięcy rubli i ten koń taki mu da procent, że jeszcze zeźre kilkadziesiąt korcy owsa. Oni wszyscy nie wiedzą, co to jest pieniądz. My żydki tylko wiemy o wielkości pieniędzy, my pieniądze szanujemy i tylko w naszych rękach pieniądz rodzi pieniądz. Kto nie szanuje pieniędzy — to on nie uważa mądrości, siły i dostatku!

— Ale czy można gubić ludzi takimi wielkimi procentami? — zapytałem Mordkę.

— Wszyscy się sami gubią! — odrzekł żyd. — Oni nie szanują pieniędzy, to my chcemy zabrać im te pieniądze. Dziecko niech idzie do matki, mąż do żony, ryba do wody, a pieniądz do pięniędzy.

— U nas, na święto „Pesach“, śpiewają taką pieśń, co się nazywa: „Hadygadju“.

Ona zaczyna się od słów: „A kimezi Małche Muwes, wełche Małche Muwes geszachten szojchet... i t. d.“ Co znaczy: „Przyszła śmierć, ta śmierć zabiła rzezaka, ten rzezak zabił byka, ten byk wypił wodę, ta woda za-

lała ogień, ten ogień spalił drzewo, to drzewo zabiło wilka, ten wilk zabił psa, ten pies zjadł nam baranka, którego my kupili za dwa pieniążków, za dwa szelążków“. Oto widzi wielmożny pan, że na świecie jedno od drugiego ginie, a tylko jeden pieniądz powinien żyć i rozrastać się w ogromne drzewo i pokrywać swemi gałęziami wszystkich żydków.



ZDANIE MORDKI O RUCHU WSPÓŁDZIELCZYM.

Otrzymawszy list od sąsiada, kazałem zawołać swego pachciarza i, gdy Mordko Zauwel ben Mojsie Feinpikes przyszedł, przeczytałem list ten głośno:

„Kochany sąsiedzie! proszę przyjechać jutro do mnie, gdyż ma być u mnie zebranie ziemian i włościan w kwestji założenia spółkowej mleczarni i sklepu spożywczego“.

— Cóż ty na to, Mordko? — zapytałem. — Jechać, czy nie jechać?

— Żeby to było polowanie, wesoła zabawa, albo karty, to ja bym nietylko mógł pożyczyć pieniędzy, ale jeszcze ubrałbym się w herbową liberję i sambym galopem wielmożnego pana odwoził! — zawołał żyd. — Ale na takie zebranie, że nawet Wojciechowa, co siedzi za wiatrakiem, nie chciałaby jechać — to nietylko, że nie radzę, ale jeszcze powiem, że takiemu mądremu i godnemu panu, jak wielmożny

pan, to wstyd jechać i bardzo byłby paskudny interes! Ja wiem. co to zebranie chce urządzić pan Pukalski i ksiądz proboszcz, ale, żebym tak zdrów był, jak z tego nic nie będzie!

— Ależ widzisz, Mordko, tam będą radzić o spółkowej mleczarni. To ważna kwestja! To podniesienie gałęzi przemysłu!

— Aj waj! Koniec świata! No, no, do czego to jaśnie panowie przychodzą! — zawołał żyd i wskazał mi ręką wiszące na ścianie portrety mych przodków.

— Widzi wielmożny pan tego wymalowanego generała, co ma wąsy, które mu pod nosem siedzą, jak dwa snopki i co trzyma w ręku pałasz? To pewnie dziadek wielmożnego pana? Ale on napewno nie radził o mleczarni! On wojował, hulał, pięknie mieszkał — miał dwór i klomby przed dworem, ale o mleku, serach i śmietanie tyle wiedział, co ten kołek u płotu! To tacy mają być teraz obywatele? Tacy jaśnie panowie? To oni teraz, zamiast hulać, polować, ubierać zagranicą w brylanty ładne panienki, mają sprzedawać mleko i siedzieć za dziwkę w oborze? Co to jest? — wołał żyd.

— Widzę, że ci to się jakoś niepodoba? No — a założenie sklepu spożywczego to też zły interes? — zapytałem.

— A gorzałka i piwo tam będzie? — zapytał żyd.

— Tego to i na lekarstwo nie dostaniesz? — odrzekłem.

— No, to już tam żaden chłop nie pójdzie! — odparł żyd. — Ja wielmożnemu panu powiem! — zaczął żyd po chwili. — Ten pan Pukalski, a szczególnie ksiądz proboszcz, chcą to zrobić. Ksiądz myśli, co to będzie dobrze i chce, aby gospodarze żyli w zgodzie, pracowali, chce też, aby czytali książki i nie pili gorzałki. Jednem słowem, ksiądz chce to, czego chłop nie chce. Jak można tę guwernantkę, co siedzi u wielmożnego pana, zmusić, aby pokochała tego starego rządcę od pana Hulajskiego, jak ona nie chce? A robić nowe porządki na wsi, to się tylko przewraca do góry nogami cały dawniejszy porządek i narodowe obyczaje! Nikt, wielmożny panie, tak chłopa nie zna, jak ja! Jak nasz „cadyk“ poznał cały Talmud, tak ja poznałem chłopa. Ja wiem, co on ciężko pracuje, ale ja też wiem, że on potrzebuje sobie odpocząć. Ale chłop nie potrzebuje tak odpoczywać, żeby siedzieć, jak rabin nad książką. On potrzebuje sobie zaśpiewać, poskakać, babę wytłuc, aby go się słuchała. A czy może chłop nogą ruszyć, jak jest spracowany i zmęczony? Jak wóz potrzebuje smarowidła, tak też i chłop, aby się rozruchać, potrzebuje wypić. On nic nie kupi i nic nie sprzeda bez „litkup“; baba nie wyprawi chrzcin, jak nie wypije gorzałki z miodem; żaden chłop

nie obróci od pieca dziwki w tańcu, jak nie wypije! To stary zwyczaj! My, żydki, jego szanujemy, my kochamy chłopów i we wszystkiem staramy się im wygodzić. W naszym sklepie chłop wszystkiego dostanie. Jak nie ma pieniędzy, to my mu poczekamy, albo przyniesie nam żyta, grochu, kartofli. A u państwa w sklepie będą brać tylko pieniądze. Z tego nic nie będzie i ja wielmożnemu panu radzę tam na zebranie nie jechać, żeby nie było wstydu i śmiechu na cały świat.



Co chłopu po rozumie.

Pewnego pogodnego wieczoru usiadłem na ławce przed gankiem i głęboko się zamyśliłem. Gdym tak siedział zadumany, nadszedł mój pachciarz i nieodstąpny przyjaciel, Mordko Zauwel ben Mojsie Feinpinkes.

— O czem wielmożny pan z taką markotnością myśli?—zapytał się Mordko.

— Myślę właśnie o tem, że przechodzi rok za rokiem, lata za latami i wieki za wiekami, a nasz lud wiejski ciągle pozostaje w ciemnocie!

— W jakiej ciemnocie? Przecież wszyscy nie są ślepi? — zawołał żyd.

— W takiej, że nie mają oświaty. Umysł ich nie jest rozbudzony przez naukę! Dużo z nich nie umie czytać! Brak nam ludzi, aby pchali ten lud do oświaty, aby nabył potrzebnych wiadomości i poznał wiele rzeczy, niezbędnych każdemu człowiekowi. Gdyby nasz lud był więcej umysłowo rozwinięty, to więcej by się podniosło nasze rolnictwo i przemysł wiejski, nastąpiłby dobrobyt i większa moral-

ność. Rolnik prędzej by poznał, co jest złe, a co dobre i nareszcie nie dałby się wam, żydkom, tak oszukiwać, wyzyskiwać i rozpająć!

— Nasza gospodyni dzisiaj bardzo płakała ze zmartwienia, że u kury zrobił się na języku pypeć, a teraz wielmożny pan się martwi, co chłop nie czyta książek i nie ma rozumu! Dzisiaj u nas, we dworze, są same zmartwienia i to takie, co od nich mogą być kolki w żołądku ze śmiechu!—zawołał żyd.

— Ty nie rozumiesz tego, Mordko—rzekłem.—Ja właśnie myślę, co by się mogło zrobić u nas dobrego, gdyby ten nasz lud miał więcej oświaty!

— Ja wielmożnemu panu powiem!—odrzekł żyd.—U nas, w mieście był „cadyk“ i on miał takie „kepełe“, co w niej więcej siedziało mądrości, jak pieniędzy z kieszeni u tych bankierów żydowskich, co uciekali niedawno z Warszawy. Ten „cadyk“ umiał wszystko. On znał „Misznę“—całe „Sedarym“. On znał „Zeraim“, „Moed“, Naszym“, „Nezykit“, „Kodaszym“ i „Taharoth“. On umiał pięknie „Tałmud Babyle“, a nawet, co nie każdy mądry „cadyk“ potrafi—on znał „Tałmud Jeruszalmi!“ Ja się nawet dziwuję, co jemu głowa nie pękała od tej mądrości. Ale raz ten „cadyk“ zamknął się w mieszkaniu i przez siedem tygodni, siedem dni i siedem godzin siedział

i ogromnie myślał. Wszystkie żydki byli ciekawi, co on wymyśli? Po siedmiu tygodniach, siedmiu dniach i siedmiu godzinach ten „cadyk“ kazał siebie odmykać z mieszkania i, gdy weszli nasze żydki pytać się go, o czem on myślał, to on im tak mówił: „Ja bardzo myślałem nad tem, co się zrobi z dziurką od obwarzanka, jak się obwarzanek zje! Ale nic nie mogłem wymyślić! Widać, że to jest taka głęboka mądrość, co mógłbym wtedy zgadnąć, jak bym miał w innem miejscu stworzoną swoją głowę!“

— A teraz ja wielmożnemu panu powiem: Coby się stało z nami żydkami, jak by chłop miał rozum? Oto ten obwarzanek to jest podobny do chłopów i nas żydków. Obwarzanek—to są chłopi, a ta dziura, napełniona powietrzem—to my żydki i nasza mądrość. Bez dziury obwarzanek być nie może i koło niej musi się kręcić. Tak i chłopi muszą koło nas być, nas karmić; tylko patrzeć się na nas i słuchać naszej mądrości. Ta dziura zawsze jest środkiem obwarzanka i ona nigdy nie zginie. Tak i my, żydki, jesteśmy środkiem w kraju i do nas należy rozum. Niech wielmożny pan spojrzy się tylko na Warszawę! W końcu osiemnastego wieku żadnemu żydowi nie wolno było mieszkać w Warszawie, a dziś, dzięki naszym zabiegom—wszystko same pejsaki!

Jak chłop będzie mądry — to czy mu ziemia, zamiast żyta, będzie rodzić złoto, a babie kura, zamiast jajek, znosić dukaty? Wszystko na świecie jest sprawiedliwie każdemu rozdane. Zając nie ma ogona i żyje — a chłop bez nauki też żyje. Szewc ma swoje kopyto, kowal młot, chłop — pług i bronę, a żydek rozum i na przykładkę pieniądze.

MORDKO O KOOPERATYWIE KREDYTOWEJ.

Bardzo często dają się spotykać w gazetach sprawozdania z różnych Towarzystw pożyczkowo-oszczędnośćiowych, w których to sprawozdaniach korespondenci narzekają na brak dobrego zarządu, duże wydatki i rządy żydów.

Między innemi przeczytałem głośno, aby i mój pachciarz słyszał, korespondencję z miasta X., w której autor narzeka na duże wydatki zarządu, małe zyski, udzielanie pożyczek przeważnie żydom i ich decydujące uchwały. Usłyszawszy to, Mordko Zauwel ben Mojsie Feinpikes rzekł:

— Ja tam byłem, w tem X. To bardzo piękne miasto: jest tam jedna kamienica, za nią—druga, dalej trzecia, a jeszcze dalej — to kartofle rosną. Ja woziłem tam na targ cielaki i „gepekełte szojre“ (szwarcowany towar). Tam bardzo są mądrzy i porządni kupcy.

— Ale widzisz, Mordko, Towarzystwo pożyczkowo-oszczędnościowe w mieście X. operuje kapitałem wyłącznie chrześcijańskim, jak pisze korespondent, a rej w niem wiodą żydzi!— zawołałem.

— A jak, proszę wielmożnego pana, w pułku żołnierze są same katoliki, a sam komandyjer i oficerowie Niemcy, to może tak być i nikt nie krzyczy; a jak nasze żydki rządzą Towarzystwem pożyczkowo-oszczędnościowem, to zaraz się robi cały gwałt!

Służąca od wielmożnego pana, Kaśka— nosi dlatego spódnicę — bo ona jest dziwka — a Towarzystwa dlatego przyjmują do siebie żydków--bo tam są pieniądze i oni je muszą ogarniać i nimi obracać. Kura znosi jajka nie dla siebie i ona ich zjeść nie potrzebuje, tak też i Towarzystwa składają pieniądze nie dla siebie, a dla nas żydków, bo my nimi umiemy obracać. Gdzie drwa rąbią — tam wióry lecą; gdzie brzękają pieniądze—tam żydki muszą być. Ja już mówiłem wielmożnemu panu, że pieniądz—to jest mądrość, siła i bogactwo. Gdzie jest pieniądz—tam jest nasza ojczyzna, nasza miłość i nasz cel życia! Nie mówię obecnie o mieście X., ale jest jeszcze bardzo dużo takich Towarzystw pożyczkowo-oszczędnościowych, gdzie zarząd żydkom przeważnie robi usługi i pomaga im w interesach.

Kiedy katolik chce pożyczki—to, żeby nawet kark skręcił, zarząd mu nie da, a nam da —bo my umiemy koło zarządu chodzić. My dostaniemy pożyczkę zaraz i temu katolikowi pożyczamy już na większy procent. Dlatego też my się staramy, aby zarząd i różni krzykacze mieli dobrą pensję i w dobrem zdrowiu nas się słuchali i nam pomagali. Dla nas składają pieniądze, dla nas będą istnieć Towarzystwa pożyczkowo-oszczędnościowe — bo do nas należy pieniądz—jak ryba do wody!

A tym kupcom z miasta X. za ich dobre „kepełe“—życzę wesołych świąt „Pesach“ i niech oni sobie w dobrem zdrowiu wypiją pesachówki, zagryzą macą i wesoło zaśpiewają „Hadygadju“.

Sposób na bandytów.

Czytając o częstych wypadkach napadów bandyckich, niekiedy dowiedzieć się można o energicznym pościgu, mężnym i przytomnym odporze, o spłoszeniu lub też schwytaniu niebezpiecznych napastników.

Kiedy o jednym z takich wypadków przeczytałem memu pachciarzowi, to Mordko Zauwel ben Mojsie Feinpikes rzekł:

— Tak powinni ludzie zawsze z całą odwagą rzucać się na tych gałganów! Ale oni bardzo boją się bandytów i przez to są częste napady. Ja to bym się nie bał nietylko dwuch, ale pięćdziesięciu pięciu! Ja mam na takich łajdaków sposób!

— Cóż to za sposób? — zapytałem.

— Ja zaraz wielmożnemu panu opowiem— rzekł żyd. — W tutejszym dworze, Bogu dziękować, trzymam sad już z dziesięć lat i wszyscy złodzieje mnie się boją! Chłop swojej baby tak się nie boi, jak oni mnie się boją. W przeszłym roku, pod jesień, stałem wieczo-

rem koło budy w sadzie i mówiłem „Lejne kryśme“, bo chciałem iść spać. Nie słychać było nic i w sadzie też nikogo nie było. Noc była widna. Dla przekonania się, wyszedłem kawałek na dróżkę, aż tu patrzę — przełazi przez płot jeden parobek, potem — drugi i na ostatku — trzeci. Myślę sobie, że pewnie oni idą coś kraść i, aby ich odrazu nie spłoszyć, poleciałem do budy, schowałem się i, zamknąwszy drzwi na klucz, jeszcze dla niepoznaki przykryłem się słomą; a przez dziurę, która była w ścianie budy, patrzyłem, co te parobki będą robić. Po chwili widzę, że jeden parobek wlazł na drzewo, potem drugi i zaczęli oni strząsać jabłka, a trzeci pakował je do worka. Ja nic nie mówię, tylko siedzę i patrzę, co dalej będzie. Kiedy oni napchali jabłek już cały worek, wtedy wie wielmożny pan, co ja zrobiłem?

— Cóż takiego? — zapytałem zaciekawiony.

— Wtedy ja przytknąłem gębę do dziury, mocno oddechnąłem, nadymałem piersi i ogromnym chłopskim głosem krzyknąłem: „Gewałt! Łapaj złodziejów-rabuśników“!

Jak te parobki usłyszeli mój krzyk, to oni się bardzo wylękali, zeskoczyli z drzewa, jabłka zabrali i polecieli do wsi.

Państwo są do gadania.

Będąc pewnego razu w dobrym humorze, co, mówiąc nawiasem, rzadko mi się zdarza przy ciągłych kłopotach w gospodarstwie, rzekłem do mego pachciarza:

— No — kochany Mordko! Tego cielaka, coś wczoraj targował, mogę ci dać darmo i jeszcze dołożę ci korzec żyta, ale jak mi wymówisz zupełnie zrozumiale i każdą literę wyraźnie — tylko te trzy wyrazy, a mianowicie: „chrząszcz brzmi w trzcinie“.

Mordko Zauwel ben Mojsie Feinpikes z początku bardzo się ucieszył z tak łatwego handlu i pewny był, że cielak będzie jego. Dlatego, też uśmiechnięty, zaczął wymawiać te słowa; ale im więcej się wysilał — tem gorzej wymawiał. Na moje uwagi—znów zaczął wykręcać swój język—to zniżając, to znów podnosząc głos i nakoniec, cały czerwony, spocony i wylęknięty, zamilkł i osłupiałym wzrokiem patrzył się na biegającego po podwórzu cielaka.

— Nic z tego nie będzie! — rzekł Mordko po chwili. Z taką gładkością gadać, my,

żydki nie umiemy! To tylko u państwa tak gadać potrafią!

— Ale przecież żydzi lubią dużo gadać?— rzekłem. Zawsze, gdzie się zbierze kilku żydów — słychać wielki harmider.

— Tak to — tak, proszę wielmożnego pana — odpowiedział Mordko. My żydki gadamy dużo, bo my mamy dużo interesów, ale my nie patrzymy na piękne gadanie, a tylko na interes, który ma być z tego gadania. A u państwa bardzo często lubią pięknie gadać i taki, co pięknie gada, to mało robi. Niech tylko wielmożny pan mnie posłucha:

Pan Kukalski z Wyrwikiszek tak znał się na gospodarstwie, jak nasz „cadyk“ na Talmudzie. On pięknie zawsze gadał o dobrych gatunkach zboża, nawozach, uprawie roli, o dobrym inwentarzu, pięknych koniach. On tak gadał, że wszyscy go słuchali, jakby to gadał sam „Szlojme Mejłach“. Ale u niego w majątku zboże rosło tak gęsto, jak tyczki przy grochu, kłos był mały, słoma cienka; bydło i konie robiły bokami, budynki się waliły, a w ogrodzie więcej rosło zielska, jak jarzyn. Ale zato on pięknie umiał gadać.

Pan Migdalski z Wilczych Dołów był bardzo porządny pan i dobry gospodarz. Ale potrzeba przytrafunku, że raz jadąc do Warszawy, zapoznał się w drodze z jakąś ładną damą i ta dama tak jemu zaczęła gadać pięk-

ne słowa i przewracać oczy, że on puścił dla niej kilkanaście tysięcy rubli, co wziął za zboże i wełnę i z ledwością jego żona i paru obywateli sprowadzili go do domu. Z początku rzucał się we dworze, jak niedźwiedź na łańcuchu. Ale potem się uspokoił, a tylko mówił, że jak przypomni sobie ten słodki głos tej damy, to zaraz go trzęsie febra, wychodzi sam na drogę i płacze, jak baran.

Dwa miesiące temu w sąsiednim powiecie zebrali się obywatele na naradę, aby założyć sklepy spożywcze, spółkową mleczarnię i kółko rolnicze. Jeden dziedzic za drugim coraz piękniej gadał. Ale po chwili wpadł gajowy i powiedział, że w lesie widział stado kozłów. Wszyscy się rzucili do broni i pojechali na polowanie. Potem wrócili do dworu i grali w karty. I w miejsce gadania o tych sklepach i kółkach, słychać było strzelanie korków z butelek Żadna katarynka, wielmożny panie, takiej pięknej muzyki nie zagra, jak jest piękne u państwa gadanie. Do państwa należy to, aby ciągle pięknie gadać, a do nas należy to, aby dobrze kręcić głową i robić piękne interesy.

Pochodzenie Prus.

Pomiędzy będącemi w mej bibljotece różnemi staremi księgami i manuskryptami dawnych wielkich mężów znajdują się dwa bardzo ciekawe manuskrypty, a mianowicie: Pamiętnik, pisany krwią z serdecznego palca przez mistrza Twardowskiego i akt rejentalny, pisany na krzyżackiej skórze i podpisany pazurem przez djabła oraz dwóch świadków: łęczyckiego Borutę i mistrza Twardowskiego.

W pierwszym z tych dokumentów, a mianowicie w Pamiętniku Twardowskiego, na stronicy 5784-ej wyczytałem, napisane piękną łaciną, następujące oświadczenie: „In illo tempore, kiedy został odkupiony cały świat, wtedy Diabolus Lucyferus Kuternoga okręcił ogonem kawał terrae (ziemi), zwanej Prusy i nie chciał oddać tego kraju, dowodząc że ta terra jest zapisana w posagu, w dożywocie, dla jego babki, która wyszła za mąż za kumotra Diabolusa Lucyfera—Łęczyckiego Borutę“. Dalej znów napisane jest, że po separacji bab-

ki Lucyferusa z Borutą oddała ona tę ziemię w dzierżawę Prusakowi.

Akt rejentalny, który jest sporządzony u rejenta Fritza Möllera w Berlinie, głosi o zapisie przez Kronprinca Djabła Lucyfera von Kuternogę — ziemi, zwanej Prusy, swej stryjecznej babce w dożywocie, w posagu, z warunkiem, aby wszelkie prawa i obyczaje, zaprowadzone przedtem w tym kraju przez Kuternogę, pozostały nienaruszone.

Podpisy są bardzo wyraźne, a pod nimi ogromna wypalona siarczana pieczęć i na niej sowa w pikelhaubie i naokoło napis: „Rex Satanos“.

Jedyne kopje z tych dokumentów znajdują się w muzeum narodowem w Berlinie i na zamku w Poczdamie. Oryginały, będące w mem posiadaniu, zabrał jeden z mych przodków, towarzysz pancerny chorągwi Zyndrama, krzyżakowi pod Grunwaldem.

Przeczytawszy to, przykro mi się zrobiło, że do takiej ziemi nasz ludek wiejski ciągnie na roboty i w krainie tej, gdzie w powietrzu czuć zapach siarki i smoły, szuka polepszenia swego losu i dobrych zarobków. Ale, jakby na potwierdzenie tych dokumentów, lud nasz, szukający w tym kraju korzystnego zarobku, bardzo często znajduje tam dla siebie biedę, uciemiężenia i szykany. Nasz polski chłop w Prusach uważany jest jako wół roboczy,

a nawet wół nie jest nieraz tak poniewierany i głodzony, jak często tam biją, głodzą, wyszydzają, poniewierają, pakują do kozy i wyzyskują naszego robotnika polskiego. Jeszcze byłoby pół biedy, gdyby chociaż ten nasz polski robotnik, po swych znojach i trudach, przyniósł do kraju naszego kulturę i dostatek. Ale przeciwnie się dzieje. Prusak przed naszym robotnikiem zamyka szczelnie kulturę i swą kieszeń, a natomiast darzy go zepsuciem i wszelką moralną zgnilizną. Wracający z Prus robotnik bardzo często przychodzi do swej wioski zupełnie zwyrodniały i zepsuty.

Rozbój, kradzieże, nożowe rozprawy, bluźnierstwa, zatrata naszych obyczajów, wszystko się to potrochu zjawia w tym człowieku. Bo tam, w tej krainie, naszego robotnika nie posadzą po środku przy stole, nie dadzą mu dobrej strawy, nie przemówią do niego słowa; tam mu nie powiedzą „Pochwalony“, a tylko kańczug świszcze mu nad plecami, gdy zechce chwilę odpocząć po ciężkiej pracy.

Kiedy tak rozmyślałem, nadszedł mój pachciarz, Mordko Zauwel ben Mojsie Feinpinkes.

— O czem wielmożny pan z taką głębokością i markotnością myśli?—zapytał Mordko.

Gdy mu opowiedziałem o swych myślach i przeczytałem te ciekawe dokumenty, wtedy Mordko rzekł:

— Ja więlmożnemu panu powiem, co jest u nas z dawnych podań napisane:

— Kiedy podczas potopu „Nojech“ płynął w swej Arce, wtedy zauważyli wszyscy, że ta Arka zaczyna cieknąć. Zalewali smołą i zatykali pakułami te dziury, ale dziury robiły się w innem miejscu i jak zaczęli wszyscy szukać powodu, od czego się te dziury robią, to zobaczyli ogromne mnóstwo paskudnych robaków, które te dziury wygryzały w Arce. Wtedy „Nojech“ zawołał: „Prrrru“! Jak on tak zawołał, to Arka zatrzymała się na miejscu. Wtedy on kazał pozgarniać wszystkie te robaki do kupy i wrzucić w wodę. Jeden żydek, co był w Arce, chciał te robaki w co zapakować, a że nie miał pod ręką dobrego naczynia, to wpakował te robaki w taką siatkę, co się ryby w nią łapie i ona się nazywa „sak“. Potem on ten sak rzucił do wody; ale jak rzucał, to sam się zaplątał w ten sak i razem z robakami wleciał w wodę, a Arka zaczęła dalej płynąć. Na krzyk żydka, drudzy chcąc, aby Arka stanęła, krzyczeli: „Prrrru! sak złapał żydka! „Prrrru“ Sak! Sak! Łapaj go!“. Arka płynęła prędko i nie chciała się zatrzymać. Od tego wypadku nazwali tego żydka, co płynął w saku, „Prusak”, a te robaki—prusakami, a znów ta ziemia, gdzie one opadły po potopie, została nazwana Prusy.

Po potopie żydek rozplątał się z saka, rozpuścił robactwo i z tego robactwa wylęgli się — Krzyżaki. Potem prawnuk tego żydka wynalazł grochową kiszkę i bawarskie piwo oraz wybudował duże miasto. Miasto to zostało nazwane „Berlin“, na pamiątkę, że żydek ten nazywał się Berek i bardzo lubił jeść w szabas rybę, co się nazywa—lin.

Oto jest cała prawdziwa historja. A o tej, co wielmożny pan mówi, to ja pierwszy raz słyszę; jak będę w mieście, to się zapytam naszego „cadyka“, czy można temu wierzyć.



Mój „Kurjer“.

Przy olbrzymich postępach nauki daje się zauważyć szybki postęp w dziedzinie odkryć i wynalazków.

Dziś już prawie każde większe miasto posiada telegrafy, telefony i gazety, które to wynalazki z szybkością dawniej niebywałą informują ogół o różnych wydarzeniach w całym świecie. A jednak wieś nasza dość sceptycznie i konserwatywnie zapatruje się na te doniosłe wynalazki.

Ja, jako hreczkosiej, mieszkający w zapadłym kącie kraju, w starym dworku, otoczonym lasami i moczarami, nigdy nie mam styczności z telefonami i telegrafami; czytam tylko od czasu do czasu kalendarz myśliwski i gospodarski, a jednak mam z całego świata wiadomości tak dokładne i szybkie, jakich nie mają gazety warszawskie. Żeby nieraz można uczciwie się rozmówić z kim przez telefon, to mówię, że potrzeba być kuzynkiem lub narzeczonym telefonistki. Do telegrafu zaś czuję

ogromny wstręt i przestrach, aby się nie rozchorować z rozpaczy, otrzymawszy zawiadomienie o śmierci jakiejś bogatej ciotki w Ameryce. Jednem słowem, najlepszem i najobfitszem źródłem dla otrzymania wszelkich wiadomości, przewyższających swą dokładnością i szybkością telegraf, telefon i różne kurjery, jest u nas na wsi żyd-pachciarz.

Żyd-pachciarz wszystkich wiadomości sam dostarcza. On wie zawsze, co było i czego nie było. Jednem słowem, on wie nawet gdzie raki zimują.

I dziś właśnie przybiegł do dworu zadyszany mój pachciarz, Mordko Zauwel ben Mojsie Feinpikes i ujrzawszy mnie zawołał:

— Wczoraj, wielmożny panie, wszystkie warszawskie tureckie piekarze zebrali się w gromadę i, ogromnie płacząc i zawodząc, bardzo się modlili, wołając: „Ła Ałłacha il Ałłach, Mahomet rasul Ałłach“! (Niema Boga prócz Boga, a Mahomet prorok Boga!).

— Pewnie się modlili o zwycięstwo? — rzekłem. — Słyszałem, że w gazetach piszą o ataku 27-miu okrętów włoskich na Dardanele.

— Jak się zbierze piętnaście bab, to jest z tego cały charmider, a prawdy i mądrości— nic. Jak wielmożny pan będzie czytał gazety, to tylko straci darmo wzrok i nie będzie

mógł potem trafić ze strzelby nietylko do zająca, ale nawet do kulawej kobyły.

— Więc to jest nieprawda o tym ataku okrętów?

— Ma się wiedzieć, że nie prawda. Te gazety wiedziały, że gdzieś świszcze, ale nie wiedzą o tem, że to im w nosie świstało. Te piekarze płakali nad tem, że tamtejszym piekarzom w ich kraju przypiekły się za bardzo włoskie makarony...

— Nie rozumiem cię, Mordko! — zawołałem.

— Otóż ja wielmożnemu panu powiem: Każdy naród ma swoje zwyczaje i różny smak. Nasze jaśnie panowie lubią bardzo pić szampańskie wino, robione z rodzynek i wody od burzący proszek w Warszawie na Nalewkach; nasz chłop lubi wypić czasem gorzałki i najlepiej lubi czarny chleb razowy, my, żydki, lubimy cebulę, bo bez naruszenia kapitału mamy szczypior w procencie; a Włochy lubią bardzo jeść przypiekane makarony. A, że najlepsze piekarze są Turki, więc Włochy powieźli do Turcji 27 okrętów z makaronami, aby Turki ich upiekli. Jak te tureckie piekarze zaczęli podkładać pod te makarony ogień, to ten ogień, że był trochę zaduży, spalił jeden okręt z makaronami i on zatonął. Widząc to Włochy, zawrócili nazad, nawymyślali Turkom

i teraz będą te pozostałe makarony gotować z czosnkiem. Dlatego też tak warszawscy piekarze płaczą, że ich towarzysze przez wypadek stracili duży zarobek. Co prawda z Turkami Włochy o te makarony będą mieli mały porachunek, ale to nie prawda, co gazety piszą.

Nowa kultura.

Zwykle dawałem swemu pachciarzowi pod kartofle i cebulę kilka zagonów ziemi, lecz w tym roku, na początku wiosny, przyszedł do mnie Mordko Zauwel ben Mojsie Feinpikes i prosił bardzo, abym mu, za dobrą zapłatę, wydzierżawił około dziesięciu mórg gruntu.

— Po co ci, Mordko, tyle ziemi? — zapytałem zdziwiony. — Mieszkanie masz darmo, zajmujesz się pachtem, dzierżawisz u mnie sad, kupujesz i tak zboże — po co ci ziemia?

— Widzi wielmożny pan, ja chciałbym chociaż raz gospodarować prawdziwie, jak dziedzice gospodarują; dlatego też chciałbym mieć kawałek pola — rzekł Mordko i tak mnie zaczął prosić i tłumaczyć, że wydzierżawiłem mu za zagajnikiem kawałek pola.

Pewnego dnia kazałem okulbaczyć kasztana i pojechałem zobaczyć, jak bronują posiany owies i jak idzie sadzenie kartofli. Skręciwszy na dróżkę, wiodącą poza zagajnik, spotkałem się z pachciarzem. Był ubrany w krótką marynarkę, długie buty, w jed-

nej ręce trzymał fajkę, a w drugiej gruby kij i od czasu do czasu krzyczał na robotnice.

— Dzień dobry ci, Mordko! — zawołałem i podjechawszy bliżej, zauważyłem, że na polu u Mordki pracowało z piętnaście bab — wszystkie znachorki ze wsi i z okolicy, które wtykały w grzędy jakieś zioła i siały dziwne nasiona.

— Co ty u djabła siejesz? — zawołałem zdziwiony.

— Ja zaprowadzam na swem polu nową kulturę! — zauważył Mordko.

— Ładna mi kultura! Widzę, że sadzisz i zasiewasz jakieś osty i pokrzywy?! Co to ma znaczyć? Czyś wydzierżawił to pole dla tych znachorek?...

Mordko poprosił, abym zlazł z konia i, oprowadzając mnie po swem polu, mówił:

— Na tym kawałku jest zasiany dzięgiel, babka, lulek, bylica i ciemierzyca; zaraz obok posiane jest: psie języczki, kaczyniec, kocanki, rumianek i psianki; pod zagajnikiem posiano i zasadzono: serdecznik, świętojańskie ziele, kurze ziele i podbiał; a tam pod płotem — zasadzony jest — mydlik, bieluń, perz, bobkowe liście i lubczyk.

— Czyś zwarjował, Mordko?! Przecież to wszystko zielsko?! A niektórego nawet bydło nie weźmie do gęby! — zawołałem bardzo zdziwiony.

— Jeszcze więcej może się wielmożny pan zadziwić, kiedy mu powiem jedno zapytanie: Czy wielmożny pan kiedy widział, aby człowiek, tak jak krowa, ziele jadł?

— Rozumie się, że nie widziałem! — odrzekłem.

— A ja powiem, że u Mordki rozum się jeszcze nie pokołomącił i Mordko wie, że teraz w całej Warszawie ludzie tak, jak krowa, jedzą wszystko ziele i za to ziele płacą bardzo dobre pieniądze! Mordko jeszcze to powie wielmożnemu panu, że w tym roku pszenica będzie po dwa złote korzec, a za każde ziele będą płacić po rublu, dwa, a nawet po trzy ruble za pęczek ziela!

— Tego to już nie rozumiem?! Tyle rzeczy ci uwierzyłem, ale to jest nieprawdopodobne.

— Ja wielmożnemu panu zaraz wytłumaczę — rzekł Mordko. — Ja woziłem do Warszawy zajęcze skórki do fabryki, gdzie wyrabiają bobrowe kołnierze i futra z tumaków, to zobaczyłem na jednej z ulic parę panienek, ubranych w takie, jak kadź od gorzelni, kapelusze z gęsiem i koguciem piórem; panienki te trzymały w rękach pęki zielska. Jak przechodził jaki pan, to on brał od panienki kawałek ziela, przytykał je do nosa, potem delikatnie się uśmiechał i płacił tej pannie za to ziele rubla. Drugi dawał dwa ruble. Jednem

słowem bardzo dobrze oni za to ziele płacili i te panny zebrały parę setek rubli.

— Ja się bardzo dziwuję, proszę panienki — rzekłem do niej — że za takie ziele można tyle zarobić?

— Takich panien, jak my, dziś w Warszawie jest tysiące, które to sprzedają i zbierają duże pieniądze. Takich dni będzie jeszcze w roku kilkadziesiąt i będzie się sprzedawać co raz innego rodzaju ziele — odpowiedziała mi panna i uśmiechnęła się. Jak ja to usłyszałem, to pomyślałem sobie, że to będzie dobry interes i teraz na gwałt zasiewam pole zielem, aby pojechać potem do Warszawy i ze swoją żoną sprzedawać w jeden dzień rumianek, w drugi dzień—lubczyk, w trzeci dzień—bobkowe liście i t. d. i zbiorę ładne pieniądze. U nas pan Hulajski dlatego się nie żeni, bo on mi mówił, że raz mu się podobała szatynka, po świętach on polubił blondynkę, w Koziej Wólce nie mógł się napatrzyć na taką pannę, która miała na plecach nagniot, a teraz się zakochał w cygance. Jak elegantka nie może sobie dobrać kapelusza, tak pan Hulajski nie może sobie wybrać żony. A w Warszawie też ciągle bywają coraz nowe zwyczaje i mody. Ale czasem z tych zwyczajów można robić dobre interesy.

Sąd gminny.

Kiedy pewnego ranka wyszedłem przed dwór, ujrzałem tuman kurzu, kłębiący się na drodze, a wśród niego jechała na wozie żona mego pachciarza, Sura-Ruchla, siedząc pomiędzy pakami, gąsiorkami i antałkami i popędzała wychudłą szkapę. Za wozem biegł pachciarz, Mordko Zauwel ben Mojsie Feinpikes. Jarmułka zsunęła mu się na prawe ucho, czapka — na lewe, długie „cyces“, tak zwane „trejles od hałuzyn“, trzepotały po chałacie, jakby go poganiając, a Mordko, wymachując rękami, krzyczał ochrypłym głosem:

— Fur — fur! A gicha — gicha! Majne gelibte Surełe! A gicha!...

Mordko, ujrzawszy mnie, zatrzymał się przed dworem i, ukłoniwszy się, zaczął ciężko oddychać. Zaledwie wóz z Surą znikł na zakręcie drogi, gdy wzbił się większy jeszcze tuman kurzu i długi sznur bryczek, wozów i pieszych pędził przez drogę.

— Czy to gdzie jaki jarmark będzie? zapytałem zdziwiony.

— To jeszcze więcej jak jarmark i wesele, wielmożny panie — odparł Mordko. Dziś jest w Kaczych Dziobach gminny sąd. Wczoraj jeszcze prosił mnie Szmul Feinpikes, co ma tam sklepik, abym mu dostarczył towaru; to ja mu posłałem przez żonę: 5 antałków piwa, 2 baryłki gorzałki z pieprzem, kilka kóp jaj i baryłkę śledzi. Obwarzanki to on sam piecze.

— Czy to on jest twoim kuzynem, że się nazywa Feinpikes — zapytałem.

— Jaki on tam kuzyn. Zwyczajnie przyjaciel. Mało jest żydków z takiem nazwiskiem?

— Ale cóż to znaczy, że tyle potrzeba piwa i gorzałki? Przecież to nie jarmark, ani wesele? Przecież tam będą sądzić sprawy — rzekłem.

— Właśnie, wielmożny panie, gdzie sądzą sprawy, to dla nas żydków jest większa korzyść, niżeli, z razem wziętych — jarmarku, chrzcin i wesela.

— Nie rozumiem cię, Mordko — zawołałem.

— Ja zaraz wielmożnemu panu wytłumaczę: Widzi wielmożny pan, jak jadą te furmanki? Przejechało już ich ze 30, a jeszcze będzie jechać dwa razy po 20. Czy wielmożny pan myśli, że to tyle będzie spraw? Nie. Spraw będzie tylko 4 o pobicie, 3 o wymyśla-

nie i jedna sprawa o mendel jajek, co zgniótł Maciek Wojciechowej na wozie, gdy jechali na targ. Reszta ludzi, co jadą, to są same świadki. Tam jest paru świadków, co widzieli, paru — co słyszeli; kilknnastu wiedzą o tem, że nic nie widzieli, ani słyszeli; kilkunastu wie tylko o tem, że wczoraj padał deszcz, a reszta jedzie dlatego, aby przy zgodzie wypić. Cała gromada przed sądem wstępuje do Szmula i on dla tych świadków, co mają dobrze gadać, daje przed sprawą słabej wódki, aby im języki dobrze latały; dla tych świadków, co mają udawać, że nic nie wiedzą — Szmulek nalewa spirytusu, aby im języki kołkiem w gębie stanęły. Po sprawach następuje ogólne hulanie i pijatyka. Ja też muszę dziś być w domu, bo ta cała gromada wstąpi do mnie na poprawkę.

Jak raz się u mnie Wojciech z Maciejem popili i pobili, to była sprawa w sądzie i każdy z nich dał mi po trzy ruble, abym dobrze świadczył. Gdy stanąłem przed sądem, to powiedziałem tak: „Prześwietny sądzie! Siedzieli sobie u mnie Wojciech i Maciej i pili gorzałkę. Po chwili oni się całowali i zaczęli ze sobą gadać głośno, potem coraz głośniej, coraz głośniej. Potem ja widziałem, jak Wojciech położył na Maćkowej głowie kij, ale go zaraz wziął; następnie ja widziałem, jak Maciej położył na Wojtkowej głowie kij, ale też

jemu zaraz wziął. Na ostatku ja widziałem na tym kiju — krew; ale czy ta krew była z Wojtkowej głowy — czy z kija, to ja na to przysięgać nie mogę“. Wszyscy się dziwowali, że ze mnie taki piękny świadek i taką surową sprawę potrafi połączyć z łagodnością; a ławniki kręcili głowami, wybałuszyli oczy i nie mogli się na mnie napatrzyć. Przy sprawie te chłopy się pogodzili i całą noc pili u mnie z sąsiadami.

Widzi wielmożny pan, dlaczego potrzeba jest tyle piwa i gorzałki. Przy stu sprawach w sądzie — dziewięćdziesięciu dziewięciu jest powodem gorzałka. Gdyby gorzałki ludzie nie pili, to byłby jeden sąd na 20 guberni. Ale jak matka często bije dzieci i te dzieci kochają swą matkę, tak też i gorzałka gubi wielu ludzi, a oni ją kochają. Bo jak matka po ukaraniu dziecka ściska to dziecko i chce mu włożyć do głowy rozum, tak znów niejeden człowiek jest kontenty, jak mu gorzałka po wypiciu ściśnie dobrze bebechy i zawróci głowę.

Takie życie — to nie życie.

Piękny deszczyk wiosenny skropił w nocy ziemię. Wyszedłszy wczesnym rankiem ze dworu do gospodarstwa, ujrzałem, jak słonko jasne i ciepłe podnosiło się zwolna i promienie jego odbijały się tęczową barwą w kroplach rosy na kwiatach i liściach. Piękna zieleń zboża odbijała swą ciemną barwą od żółtej przestrzeni łąk, pokrytych kwiatami.

Nastąpił cichy i pogodny poranek.

Odetchnąwszy pełną piersią świeżem, rannem, ożywczem powietrzem, udałem się z ogrodnikiem do sadu, gdzie okopywali i użyzniali nawozem ziemię koło drzew.

Pachciarz mój, Mordko Zauwel ben Mojsie Feinpikes stał już przed swoją budą w sadzie i ubrawszy się w „tałes“ i przywiązawszy do czoła „Twyłem“, odmawiał „Dawene“.

Żona moja, wskazawszy dziewczętom miejsca, gdzie mają siać ogórki i przesadzać rozsadę, szła z gospodynią do cieląt i źrebiąt. Pachciarz, skończywszy „Dawene“, podszedł

do mnie i ukłoniwszy mi się, spojrzał na przechodzącą moją żonę. Na twarzy jego zjawił się dziwny uśmiech: zaczął kręcić głową i mówiąc ciągle „aj waj“! wymachiwał rękami.

— Aj waj, wielmożny panie! Takie życie, jakie prowadzi wielmożna nasza pani, to nie życie! — rzekł po chwili Mordko.

— A jakież ma prowadzić? — zapytałem.

— Nasza pani nie potrzebuje tak jak prosta dziwka wstawać rano. Ona potrzebuje sobie wstać na południe, wyjść do ogrodu, powąchać kilka kwiatów, potem zjeść śniadanie i czekać na obiad. Po obiedzie powinna sobie co zagrać, zaśpiewać; potem delikatnym krokiem przechodzić sobie po sadzie; powinna słuchać, co nasza guwernantka opowiada o Paryżu, iluzjonach i kabaretach; potem powinna zjeść kolację, uśmiechnąć się z łagodnością do wielmożnego pana i pójść spać. Ale, że wielmożna pani wstaje rano i ciągle kręci się koło gospodarstwa, to przez nią gospodyni nie może zdążyć włożyć na siebie akuratnie kiecki i zawinąć włosów pod czepek, co jak strąki jej wszędzie wiszą; żadna dziwka nie może uczciwie i porządnie przeciągnąć się; nie może przy śniadaniu lub na zagonie potrącać się i wygadać z parobkami i przez to cała robota idzie prędko. A przecież robota nie zając — nie ucieknie. Trzeba zawsze wolno robić, a du-

żo jeść. Jak maszyna leci prędko, a mało ma wody i dużo ognia, to wyhuknie i pęknie.

— Ale przecież praca człowieka uszczęśliwia — rzekłem:

— Tak, to tak, wielmożny panie! — odpowiedział Mordko. — Ale pracować dla naszej pani nie pasuje. Dla takiej delikatnej osobÆ to tylko trzeba nic nie robić i być zdaleka od tych dziwek i fornali, a tembardziej od takiej baby, jak nasza gospodyni. Ja wielmożnemu panu nawet to powiem, że teraz panie wszędzie, jeżeli chcą koniecznie co robić, to robią ale zupełnie inne roboty.

— Jakież? — zapytałem.

— Pan Fajtłapski miał piękny majątek Żółte Dzioby. A że jego żona nie mogła się patrzeć na dziwki, fornali, krowy i cielaki, to kazała mu sprzedać ten majątek i oni razem z sześcioma córkami przenieśli się do Warszawy. W Warszawie oni bardzo wesoło się bawili. Tam jest pełno takich kawalerów, co oni nic nie robią, ale umieją pięknie tańcować, opowiadać wesołe rzeczy, umieją dobrze zjeść, z gładkością wypić i wywracać oczy do ładnych panienek. To też te kawalery tak wesoło potrafili ożywić dom państwa Fajtłapskich, że po paru latach cały majątek przeszedł do nas, żydków. Ażeby z głodu nie umierać, to pani Fajtłapska daje lekcje muzyki u żydków

na Nalewkach, jedna z córek jest kasjerką, druga buchalterką, trzecia masażystką, czwarta sufrażystką, piąta telefonistką, a szósta lektorką, co czyta starym jaśnie paniom różne bajki. Pan Fajtłapski szoruje w domu podłogi, gotuje obiady, ściele łóżka, a wieczorami ceruje pończochy.



Pożyteczne zmiany.

— Przyjechał wczoraj do mnie Józefat Podskoczuk ze wsi Peredyła nad Bugiem—mówił mi tak pewnego dnia Mordko Zauwel ben Mojsie Feinpikes — i wiele wiadomości przywiózł mi z tamtych stron. Ja tam, wielmożny panie, byłem u nich dawniej karczmarzem i oni mnie bardzo lubili. Teraz Podskoczuk, przyjechawszy do mnie powiada:

— Ja pryichaw do tebe, Mordko, pozdorowatysia z toboju i choczu prosyty tebe, szczoby ty pryichaw do nas na korczmara, bo takoj horyłki, jak od tebe, my dawno ne pyły i choczu kazaty tebe tyje nowyny, jakije nam nasz pysar kazaw.

— Jakije nowyny ty mene choczesz kazaty?—zapytałem Podskoczuka.

— A oto bacz na toje—odrzekł Józefat—szczo u nas bude Chołmskaja hubernija!

— Ne może byty?!—zapytałem.

— Ałe!—zawołał Podskoczuk.

Potem on mi zaczął długo opowiadać o Chełmskiej gubernji, o różnych pożytecznych zmianach, jakie mają nastąpić i o innych rzeczach, jakie im ich „pysar“ opowiadał. Dużo rzeczy się od niego dowiedziałem, a między innemi dowiedziałem się też, że wszyscy gospodarze z Peredyła i innych wiosek, jeżeli mają dużo ziemi, to mogą na niej siać, co im się tylko podoba: zamiast boso — mogą chodzić w butach, a kto chce, to w „czobotach“; wójci będą tak jak dawniej nosić medale na szyi, a pisarze pieniądze w kieszeni; jak żydki poślą komornika do Peredyła, to nie będzie można robić licytacji w święta i niedziele; żenić będzie się można z taką dziwką, która „bude miła hroszy”, a jak kto będzie miał jaki kłopot lub zmartwienie, to może podrapać się nie tylko za prawem, ale i za lewem uchem.

— My prosyły pysara — tak dalej mówił Podskoczuk — szczoby on nam napysaw prośbu do Dumy, szczoby nam mogły darmo dawaty: horyłku, pywo i sełedci. No pysar nam na toje kazaw, szczo on toho ne może zrobyty, szczoby żydy ne zbuntowałysia. A jak, każe, my widajem, szczo u tebe, Mordko, była dobraja horyłka, to ja pryichaw prosyty tebe, szczoby ty buw u nas korczmarom. Budesz u nas mity chatu i kłumiu (stodołę) i rybu na szabas.

Ja mu na to odpowiedziałem, że do nich przyjechać nie mogę, bo rabin nie wpuściłby mnie do bóżnicy, jakbym rzucił swego dziedzica i przyjaciela. Ale mu obiecałem, że poślę im swego syna, Całkę, który będzie miał nad Peredyłem opiekę i przywiezie im takiej „horyłki“, jakiej jeszcze nie próbowali.

— Djakuju tebe za toje! — zawołał Podskoczuk i uradowany pojechał do Peredyła z radosną nowiną, że mój syn do nich przyjedzie.

Dziwny sen.

Kiedy wytrząsłem się na koniu, jeżdżąc cały dzień po polach i nareszcie, zlazłszy z kasztana, zbity i zmęczony, po spożyciu wieczerzy, wpakowałem się do łóżka, twardy sen skleił mi powieki. Śnił mi się wypadek, który zamiast osłodzić zmęczoną mą głowę, przeraził mnie bardzo. Śniło mi się mianowicie, że byłem krową. Towarzystwo Kredytowe trzymało mnie za rogi, komornik za ogon, a pachciarz mnie doił. Opowiedziawszy nazajutrz ten dziwny sen memu pachciarzowi, spytałem się go, co o tem sądzi.

— Wczoraj wielmożny pan pewnie zjadł dużo na noc wędzonej kiełbasy i od tego zaczęły bić humory od żołądka do głowy. Jak człowiek za bardzo na noc się obje, to zawsze ma po tem zmorowaty sen. Ja sam miałem w przeszły szabas bardzo dziwny sen.

— Jakiż?—zapytałem pachciarza.

— W przeszły piątek, wieczorem—zaczął mówić Mordko Zauwel ben Mojsie Feinpinkes — zjadłem kawałek upieprzonego szczupaka i wypiłem zimnej mocnej herbaty. Jak poło-

żyłem się do łóżka, to miałem od tego szczupaka brzęczenie i bulgotanie w żołądku i długo nie mogłem zasnąć. Kiedy nareszcie zasnąłem, to miałem straszny sen. Śniło mi się, że wszystkich żydów zaczęli z kraju wydalać. Nasze żydki zabrali ze sobą pieniądze i pierzyny i pojechali do Ameryki, a po wyjeździe żydków z kraju wszystko przewróciło się do góry nogami.

W miastach, w różnych sklepach spółkowych i katolickich kupców, zabrakło towarów, bo nie było żydowskich składów. Wszystkie Towarzystwa pożyczkowo-oszczędnościowezbankrutowały, bo nie było komu pieniędzy pożyczać i nie miał kto wybierać prezesów i zarządu. Różne damy i niektóre panny od baletu wypędziły pantoflami hrabiów, bo oni nie mieli za co kupować im brylantów i strojów, i dlatego też zbankrutowali jubilerzy i modystki. Pociągi chodziły tylko do granicy, bo za granicę nie jechał żaden dziedzic. Zboże gniło w śpichrzach i sosny próchniały w lesie, i nie było komu kupować, bo żydki zabrali pieniądze. Jaśnie panowie w miejsce szampańskiego wina— pili kapuściany kwas, a w miejsce w karty i totalizatora, grali w ciuciubabkę. Na wsi chłopi nie urządzali chrzcin i wesel, bo nie było co wypić. W gminach rządzili sami pisarze, bo żaden chłop nie chciał wybierać wójta, gdyż wszystkie karczmy pozamykano. Ga-

jowi i leśnicy poszli z torbami, bo nie było co w lesie pilnować, gdyż para chojaków kosztowała trzy grosze i dlatego żaden chłop nic nie kradł. Po wsiach wszystkie kołki siedziały w płocie, bo nie było o co się bić. A komornicy i adwokaci siedzieli pod kościołem i śpiewali dziadowskie piosenki.

W końcu zobaczyłem, jak wielmożny pan, blady i trzęsący, podszedł do mnie i zawołał: „Mordko! Ratuj mnie i wracaj do mojej wsi, gdyż z rozpaczy w łeb sobie palnę!“ Po tych słowach wielmożny pan przyłożył sobie pistolet do głowy. Wtedy ja złapałem za pistolet i wyrwałem mu z ręki, ale zaraz usłyszałem krzyk. Gdy się obudziłem i otworzyłem oczy, to zobaczyłem, jak moja żona, krzycząc na mnie, targała mi brodę. Ja, myśląc we śnie, że wyrwałem pistolet, zerwałem żonie z głowy perukę i nagniotłem nos.

Wielcy ludzie u państwa.

Usiadłszy pewnego dnia przed domem na ławce pod rozłożystym dębem, zacząłem czytać gazetę:

„Zmarł pisarz wielkiego talentu, uczuciem serdecznem ogarniający kraj swój i naród i wszystko, co cierpiące, smutne, słabe, skrzywdzone“. Takie, wstrząsające do głębi serca, słowa przeczytałem w gazecie na początku artykułu, zawiadamiającego o śmierci wielkiego i nieodżałowanego pisarza i nauczyciela narodu, ś. p. Aleksandra Głowackiego (Bolesława Prusa).

Przerwawszy na chwilę czytanie, wzniosłem w górę oczy i spojrzałem na rozłożyste konary dębu, rozpościerające się nad moją głową. Szum liści szeptał mi do ucha dzieje dawnych pokoleń, które często szukały w jego cieniu ochłody.

— Stoisz sobie, staruszku, mchem porosły od wieków! — pomyślałem. — A potężny dąb wielkich myśli, szczytnych pragnień, szlachetnych uczuć i dążności, co z miłością roz-

pościerał swe konary nad swym narodem — runął z jękiem, zostawiając nam tylko żal, tęsknotę i ból serca, które nie ma nadziei być ogrzanem tym ożywczym ogniem, jaki niecił ś. p. Aleksander Głowacki!

Przebiegłszy myślą jego dzieła, jakie pisał dla nas, pochyliłem głowę nad gazetą i łzy same zaczęły mi płynąć z ócz. Otarłszy oczy chustką, zadziwiłem się, ujrzawszy pachciarza, który ze smutno-śmiejącą miną stał przedemną.

— Pewnie wielmożny pan się dziwuje, że ja tu się zjawiłem? — rzekł cicho Mordko Zauwel ben Mojsie Feinpikes. — Ale, gdzie woda bardzo leci — tam trzeba założyć tamę! Jak dziedzic ma duży smutek. to jego pachciarz i przyjaciel musi być koło niego i jego ratować! Niech wielmożny pan powie od czego ma takie bolenie i markotność, a Mordko mu dobrze poradzi!

Zły byłem z początku, że Mordko przerwał mi me myśli, lecz po chwili opowiedziałem mu o swym smutku i wielkiej stracie, jaką poniosło nasze społeczeństwo.

— Przecież i u was byli wielcy ludzie!— rzekłem — więc powinieneś zrozumieć nasz smutek, gdy tracimy bezpowrotnie takiego człowieka, który nas karmił swą mądrością i wszystkich gorąco miłował!

— Proszę mnie cierpliwie posłuchać, co ja wielmożnemu panu powiem — rzekł Mord-

ko i zaczął tak mówić: — Trzy razy ja w swojem życiu widziałem płaczących dziedziców. Widziałem, jak pan Bąkalski, herbowy szlachcic, co miał w swym herbie widły i łopatę — ogromnie płakał, że jego syn ożenił się z prostą mieszczanką. Widziałem, jak pan hrabia z Mysiej Dziury płakał, jak mu kobyła na wyścigach okulała. Widziałem, jak pan Hulajski też ogromnie płakał, jak od niego uciekła artystka od cyrku, gdy nie miał za co jej kupić bransolety, a żydzi nie chcieli dać pieniędzy. Ale, żeby dziedzic płakał z tego, że umarł gdzieś jakiś pisarz, to jeszcze tego nie widziałem i dopiero teraz widzę.

— To nie „jakiś“ pisarz, a taki, którego cały naród opłakuje! — zawołałem zirytowany.

— Przepraszam wielmożnego pana za to, co ja mu powiem — rzekł żyd i zaczął tak mówić: — Że ten sławny pisarz umarł, to już Bóg tak dał i nie tyle trzeba jego płakać, ile trzeba płakać nad tem, że z tego, co on robił i pisał, nie będzie żadnego pożytku.

— Co ty mówisz?! — zawołałem.

— Ja dobrze mówię, wielmożny panie! — odpowiedział Mordko. — Ten uczony, co siedzi na Krakowskiem Przedmieściu w Warszawie i trzyma w ręku dynię, to był u państwa wielki mędrzec. Ten drugi, co stoi też na tej ulicy, na słupie i przyciska ręką pugilares z pieniędzmi, co siedzą w kieszeni z boku sur-

duta, aby mu bandyty nie zabrali — też był u państwa wielki poeta. Ja wiem, że u państwa było bardzo dużo wielkich ludzi, ale co te ludzie mądrego radzili, co oni dobrego kazali robić, to państwo tego nie robią i to, co oni mówili i pisali — to państwo jednem uchem słuchali, a drugiem — wypuszczali. Dlatego też ten sławny pisarz, co on dobrego napisał, to państwo to przeczytali, potem o tem zapomną, postawią mu pomnik i będzie koniec. Ja wielmożnemu panu jeszcze to powiem: My, żydki, ciągle jesteśmy żydkami od początku świata i będziem nimi do końca świata. Nasza narodowość i nasze obyczaje nigdy się nie zmienią, choćbyśmy byli na wszystkich krańcach świata. Żydka można poznać po osobie, można poznać po obyczajach, można go poznać po głosie, a nawet my jemy dlatego czosnek i cebulę, aby można poznać żydka też i po zapachu. Jednem słowem żyd zawsze będzie żydem. A wie wielmożny pan dlaczego? Dlatego, że myśmy mieli dużo swoich proroków, uczonych, rabinów; myśmy mieli też, jak państwo, dużo sławnych pisarzy, ale my od małego dziecka czytamy tych pisarzy, my ich się słuchamy i ci pisarze mają swoje pomniki w głowie i w sercu każdego żyda. U państwa po takim pisarzu trochę popłaczą, postawią mu pomnik i potem zapomną. Żeby wszystkie Polaki słuchali się tego, co ich sławni pisarze

piszą i im radzą, to byłoby „git“. Ale u państwa wielu chce bardzo szeroko i po swojemu żyć. Wielu z państwa lubi jeść po niemiecku — żeby tylko ciągle jeść samą kiełbasę; lubi pić po francusku — aby, w miejsce zimnej wody, pić szampańskie wino; lubi żyć po turecku — aby można było mieć dziewięćdziesiąt dziewięć żon — a wszyscy chcą potem umierać po polsku czyli po katolicku. Żeby u państwa się słuchali swych pisarzy tak, jak my, żydki, — naszych — to jeszcze raz mówię wielmożnemu panu, że byłoby wszystko „git“!

Fałszywe brylanty.

Wyszedłszy w niedzielę po nabożeństwie z kościoła, wsiadłem w bryczkę i pojechałem do domu. Po drodze zauważyłem, jak tłum żydów, wrzeszcząc, wynosił z pobliskiego sklepu i karczmy towary, antałki oraz różne graty i pakował to na wozy. Wśród żydów kręcił się i krzyczał mój pachciarz, Mordko Zauwel ben Mojsie Feinpikes. Kazałem stangretowi ściągnąć mocno lejce, gdyż konie, nie przyzwyczajone do takiego harmidru, rzuciły się w bok i o mało nas nie poniosły. Przyjechawszy szczęśliwie do domu, po obiedzie i odpoczynku, wyszedłem do ogrodu, aby przeczytać gazetę. Po jakimś czasie zjawił się przedemną Mordko i, ukłoniwszy mi się, rzekł:

— Jak to dobrze, że wielmożny pan sobie odpoczywa, a ja miałem dziś tak głowę zakręconą i taką robotę, że z ledwością mogę oddychać.

— A widziałem — rzekłem — jak tłum żydów we wsi wrzeszczał, a ty, Mordko, pier-

wszy między nimi. Co to za przeprowadzkę urządzaliście?

— Czy wielmożny pan wie, że w Żółtych Dziobach stawiają marjawicki kościół?

— Wiem, odrzekłem. Ale cóż to może cię obchodzić? Przecież ty w kościele tym nie będziesz się modlił?

— Modlić się nie będę w kościele, ale przed kościołem, aby szczęśliwie był wybudowany! — zawołał żyd.

— Co ciebie, Mordko, to może obchodzić?! — zapytałem po raz drugi, jeszcze więcej zdziwiony.

— Ja wielmożnemu panu to wytłumaczę. Ażeby to wielmożny pan zrozumiał z gładkością i światłością, to mu opowiem jedną historję.

— Więc mów! — rzekłem.

— Był sobie jeden stary ojciec i miał dwunastu synów. Jak ten ojciec widział, że już ma niedługo umierać, to cały swój ogromny majątek sprzedał i kupił za niego piękny brylant; prócz tego kazał zrobić takiej samej wielkości jedenaście fałszywych brylantów. Kiedy ten stary ojciec zaczął już umierać, to zawołał do siebie wszystkich dwunastu synów i tak do nich mówił: „Ja niedługo już umrę, a więc posłuchajcie mnie, co wam powiem: Chowałem was w zdrowiu i w swej opiece. Uczyłem was rozumu i pracy. Wszystkich was

kochałem, a najwięcej kochałem jednego z was. Dlatego też sprzedałem cały swój majątek i kupiłem za otrzymane pieniądze piękny brylant; prócz tego kazałem zrobić jedenaście fałszywych brylantów. Ten prawdziwy brylant dam temu, którego najwięcej kochałem, a te fałszywe — dostanie każdy z was“! Po tych słowach ten ojciec rozdał te brylanty swym synom i umarł. Po śmierci ojca synowie nie wiedzieli, kogo on najlepiej kochał i kto z nich ma prawdziwy brylant. Jeden z braci przypomniał sobie, jak go raz ojciec wybił, a drugiemu bratu dał piękne winogrono. Ale potem przypomniał sobie, że raz go ojciec pocałował, a nad drugim zapłakał. Więc pomyślał sobie, ża pewnie mnie ojciec najwięcej kochał i dla mnie dał prawdziwy brylant. I tak wszyscy bracia przypominali sobie wszystkie kary i wszystkie dobroci, jakie im ojciec robił i dlatego też żaden z nich nie chciał zamienić swego brylantu. A teraz ja wielmożnemu panu powiem, co ta historja znaczy! Ten ojciec to jest — jakby Pan Bóg, a te brylanty, to różne wiary na świecie. Ale jeszcze to wielmożnemu panu powiem, że teraz ludzie znajdują nowe piękne brylanty i kontenci są bardzo z tego.

— Wszystko to zrozumiałem, ale tego nie rozumiem, co ciebie może obchodzić zbudowanie nowego kościoła.

— Przepraszam wielmożnego pana, co ja mu powiem. Każdy naród ma swoje obyczaje. My, żydki, robimy wszystko nie tak, jak u państwa. Dlatego też gdy stawiają nowy kościół, to my chcemy postawić nową karczmę. Człowiek nie może się ciągle modlić — on potrzebuje i trochę co przetrącić i posilić się. Otóż więc ja kazałem swemu szwagrowi na gwałt się przeprowadzić do Żółtych Dziobów, aby kto inny tam nie zajął miejsca. Jak u państwa co pięknego wymyślą, to my żydki się staramy, aby z tego myślenia były dla nas piękne pieniądze.

Nowa pensja.

Szary opar podnosił się zwolna od ziemi, osłaniając, jakby welonem, zarumienioną piękną oblubienicę — wschodzące słońce. Kasztan mój parsknął raźno i, wyciągnąwszy szyję, niósł mnie wichrem na łąki.

Sianokos!

Błyszczą kosy w rękach sprawnych kosiarzy, piękna trawa kładzie się pokotem, a tam dalej słychać piosnkę mazowiecką... To dziewczęta grabią siano, przewracają pokosy, układają w wały lub składają w kopy.

Płynie piosnka mazowiecka, a z nią cudowny zapach młodości łączy się z miłą wonią traw.

— Szczęść Panie Boże! — zawołałem, podjechawszy bliżej.

— Panie Boże zapłać! — zawołały dziewczęta chórem.

— A gdzie jest Maryśka? — zapytałem koszącego parobka.

— Śpi jeszcze w czworaku, wielmożny panie! — odpowiedział Walenty.

Złość mnie ogromna wzięła, że taka ładna dziewczyna jest takim leniuchem i śpiochem. A tu ruch i życie oddawna panuje.

— Walenty! — zawołałem na parobka.— Rzuć kosę i biegnij na przełaj na folwark, a ja za tobą wkrótce pojadę.

Po chwili, przyjechawszy na folwark, kazałem Walentemu i jeszcze dwum fornalom podejść pocichu do czworaka, gdzie spała Maryśka.

— A co, śpi? — zapytałem ich.

— Śpi, wielmożny panie! — odpowiedzieli mi.

— Wejdźcie pocichu do izby, ostrożnie wynieście Maryśkę z łóżkiem na dwór i ponieście do stawu.

Żwawe chłopcy wypełnili rozkaz jak najakuratniej.

Kiedy śpiąca dziewczyna znalazła się wraz z łóżkiem w wodzie przy brzegu stawu, wtedy zawołałem:

— Maryśka!

Ta „bryk“ z łóżka do wody i zaczęła nogami i rękami przebierać, jak organista i, co głowę wychyli z tataraku, to wystraszonym wzrokiem spojrzy na śmiejących się parobków.

— Aj waj! Co wielmożny pan robi! — zawołał, przybiegłszy, mój pachciarz, Mordko

Zauwel ben Mojsie Feinpikes.—Kto to słyszał, aby dziedzic taką ładną dziwkę topił?

Kazałem Walentemu wynieść z wody Maryśkę i ta, po dobrej i niespodziewanej kąpieli, przyszła do siebie i, zjadłszy śniadanie, poszła na łąkę do roboty.

Od tej pory pierwszym rannym ptakiem pierwszą robotnicą, pierwszą przodownicą na zagonie i pierwszą śpiewaczką jest Maryśka i wychodzi w tym roku za mąż za porządnego i urodziwego parobczaka, Walentego!

— Wielmożny panie! — rzekł pewnego dnia do mnie Mordko. — Przepraszam, co ja powiem: Widziałem już dużo różnych miast; byłem też w Kocku, Górze Kalwarji i w Warszawie! Widziałem po tych miastach różne szkoły i pensje. Tam uczą panienki czytania, pisania, grania i śpiewania; widziałem, jak te panny umieją ładnie wyszywać monogramy, wypalać na drewnianych pudełkach różne „ciackes“; słyszałem jak niejedna panna umie gadać takimi językami, jakich nie słyszał nawet nasz „cadyk“; widziałem, jak niejedna potrafiła przez cały dzień skrobać nożykiem paznogcie u rąk; widziałem niejedną pannę w takim kapeluszu, że można byłoby w niego wsypać pół korca kartofli; widziałem, jak niejedna niezamożna kobieta sprzedała cielaka i kupiła sobie taki kapelusz. Ale, żeby ona sprzedała kapelusz i za niego kupiła cielaka — to jesz-

cze tego nie widziałem, bo żaden żydek by za niego nie dał trzy grosze. A teraz to wielmożnemu panu powiem, że takie pensje bardzo drogo kosztują i nakoniec powiem to, że jeszcze tego nie widziałem i nie słyszałem, aby można prostą dziwkę, jak nasza Maryśka, w dwóch minutach nauczyć: rannego wstawania, roboty, wesołości i szczęścia do chłopaków. U nas żydówki chodzą do „mikwy“, ale żeby dziedzice urządzali takie „mikwy“ dla Marysiek, to tego nie widziałem i teraz widzę, że to jest nowa pensja.

Mordko wyklęty.

Przechodząc pewnego dnia koło mieszkania mego pachciarza, usłyszałem ogromny krzyk i płacz. Podszedłszy bliżej, zobaczyłem najpierw pachciarza, który siedział skulony przed domem na ziemi; ubrany był w poszarpany chałat, na nogach miał tylko podarte pończochy, jedną ręką trzymał się za wątrobę, a drugą szarpał swe pejsy i brodę. Dzieci jego biegały w koło, płacząc i wrzeszcząc, a żona Sura-Ruchla, stała nad nim i wymyślała mu okropnie. Bardzo się tem zdziwiłem, tembardziej, że przedtem nic podobnego nie było.

— Co tu u ciebie się stało za nieszczęście, Mordko? — zapytałem.

Wszyscy, ujrzawszy mnie, zamilkli, a Mordko odezwał się:

— Co za Mordko? — Tu niema Mordki, wielmożny panie!

— Przecież chyba ty się nazywasz Mordko! — rzekłem!

— Ja nie nazywam się Mordko! — zawołał żyd. — Ja się nazywam: osioł, gałgan, łap-

serdak, paskudnik! Tu niema Mordki! Za trzy dni tu Mordko przyjedzie! A teraz jego djabli zabrali!

Usłyszawszy to, jeszcze bardziej się zdziwiłem i, będąc pewnym, że Mordko dostał obłędu, spojrzałem się uważnie na niego.

— Wielmożny pan myśli, co ja dostałem kołowacizny? — rzekł po chwili Mordko!— Ja nie kołowaty! A moja żona Sura-Ruchla też jest godna kupcowa i grzeczna kobieta. Ale ja kazałem jej na siebie krzyczeć i ona tak, razem z dzieckami będzie krzyczeć na mnie przez trzy dni.

— Lecz cóż to wszystko znaczy? — zapytałem.

— Ja teraz mówię, że jestem łapserdak i paskudnik, ale, na ogromną pociechę dla wielmożnego pana, za trzy dni to ja będę jego przyjacielem i będę się z całą prawdziwością i akuratnością nazywał Mordko Zauwel ben Mojsie Feinpikes.

— Nie rozumiem cię?! — zawołałem zdziwiony.

— Otóż, żeby wielmożny pan zrozumiał, to ja mu powiem: Parę dni temu ze mną zrobił się bardzo paskudny przytrafunek i nieszczęście. Jak przyszedłem ze dworu do domu i siadłem do kolacji, to — zjadłszy najpierw

kawałek koźlego mięsa, położyłem potem łyżkę na garnku od mleka. Żona moja zwróciła mi na to uwagę i ja, zerwawszy się od stołu, zacząłem biegać po stancji i bardzo się zmartwiłem tym wypadkiem, bo u nas tego robić nie wolno. Zaraz na drugi dzień pojechałem do miasta, do rabina na sąd. Rabin zwołał prawie cały kahał i wszystkich naucznych żydów na tę ważną sprawę. Zaczęli oni czytać i przewracać wszystkie te książki, które się odnoszą do mej sprawy. Oni szukali i czytali przepisy i prawa z „Kodaszym", „Taharoth", „Halahoth", „Gedoloth", „Sefer Hamycwoth", „Jad Hachezaka", „More Nebuchim", „Arba-Turim" i wiele innych książek naszych. Dwa dni i dwie noce oni czytali i radzili. Potem zawołał mnie rabin i wydał taki wyrok: „Mordko Zauwel ben Mojsie Feinpikes, jedząc koźle mięso, położył łyżkę na garnku od mleka — to on jest godzien kary — drugiego rzędu przekleństwa, czyli „heremu". Ale może być, że on myślał, jedząc mięso, o wielkiej jakiejś spekulacji i może przedtem, nim położył łyżkę na garnku, obtarł końcem swego łapserdaka i może mleko w tym garnku było od matki koźlęcia, co on jadł z niego mięso, to my jego skazujemy na karę, aby on siebie na trzy dni wyklął i po trzech dniach sam z siebie klątwę zdjąć powinien".

Wszyscy się, wielmożny panie, dziwowali mądrości naszego rabina, że potrafił taką surową sprawę połączyć z łagodnością.

Więc ja teraz siebie wykląłem i za trzy dni wielmożny pan zobaczy z radością swego przyjaciela.

Mordko przy żniwie.

Żniwa!

Kasztan mój zaczął tańczyć jak baletnica, gdy, poklepawszy go po szyi, wskoczyłem na siodło i pojechałem w pole.

Półkrwi arab.

Przyjechawszy na pole, zawołałem głośno: „Szczęść Boże na robotę“! Po chwili usłyszałem te słowa:

— Za jakie robotę wielmożny pan dziękuje?! Tu niema roboty! Te dziwki nic mnie nie słuchają i nie chcą tak robić, jak ja im pokazuję!

Kasztan mój stanął dęba i, parsknąwszy nozdrzami, zaczął uszy swe strzydz w stronę jakiegoś widma.

Lecz nie było to widmo, to był pełnej krwi żyd, mój pachciarz, Mordko Zauwel ben Mojsie Feinpikes.

— Co ty tu robisz?! — zawołałem.

— Czy wielmożny pan nie wie, że to zboże już jest sprzedane na pniu dla mnie —

rzekł Mordko — i ja wielmożnego pana proszę, aby z chłopskim głosem krzyknął na nich, by się prędko zwijali — bo oni mało co robią.

Usłyszawszy te słowa, o mało nie spadłem z konia. Ścisnąwszy kolanami szlachetne stworzenie i poklepawszy je po szyi, zawołałem na odjezdnem do Mordki.

— Do dworu!

Kasztan mój znów nóżkami swymi zaczął tańczyć, jak baletnica, strzygł uszami na prawo i lewo i zatrzymał się nakoniec przed dworem!

Zeskoczywszy z kasztana, ujrzałem już przed gankiem kłaniającego mi się Mordkę.

Bardzo mnie to zadziwiło, że koń mój, półkrwi arab, spóźnił się o 1½ minuty przed przybyciem pachciarza.

Wyścigi.

Oddawszy fornalowi konia i kołysząc się trochę po konnej jeździe, usiadłem na ławce w ganku.

— Cóż to ja jestem twym parobkiem, a ty dziedzicem, że rządzisz mem polem i ludźmi, a mnie każesz, abym słuchał się twych rozkazów?! — rzekłem z gniewem do Mordki.

— Przepraszam wielmożnego pana—odpowiedział Mordko. — Ja nie rządzę polem, ale żytem i owsem, które już jest moje. Jak ono będzie nie na czas zebrane, to ja na tem dużo

stracę. Jak ja wielmożnemu panu wygodziłem i dałem pieniędzy na Towarzystwo, na komornika, na spłatę karcianego długu i dałem pieniędzy na takie rzeczy, coby wielmożna dziedziczka nie wiedziała, to ja teraz proszę, aby wielmożny pan się postarał, abymmiał to zboże prędko zebrane, wymłócone i odstawione do kolei fornalkami.

— Więc ja mam być twym parobkiem!— zawołałem.

— Co wielmożny pan mówi?! — rzekł żyd. — Jakim parobkiem?! Zwyczajnie tylko przyjacielem. Ja zawsze byłem dla wielmożnego pana przyjacielem, a wielmożny pan był dla mnie dobrodziejem; co to szkodzi jak ja byłem dla wielmożnego pana, na początku roku, dobrodziejem — a teraz wielmożny pan będzie dla mnie przyjacielem i pomoże mi w mych kłopotach? Jak wielmożny pan oskubał mnie z pieniędzy, jak kurę z pierzy, to ja teraz chcę to pole oskubać ze zboża. Ale tylko ta jest różnica, że te pieniądze tak jak z kury pierze rozleciały się po świecie i pozostał z nich tylko wiatr, to ja teraz chcę zboże zebrać z pola, zwieźć je do kupy i chcę wziąć za nie ładne pieniądze i schować je nazad do swej kieszeni. Ale niema się co martwić! Mordko wielmożnemu panu znów pomoże.

— Idź już do domu! — rzekłem i, podniósłszy się z ławki, wszedłem do mieszkania.

Oj! dana moja dana!
Dziewczyno kochana!...

usłyszałem po chwili piosenkę, wydobywającą się z piersi młodych parobczaków, idących przez podwórze z kosami i wesoły śmiech dziewcząt.

— Radują się — pomyślałem sobie, — że to jutro dożynki i okrężne. Trzeba im sprowadzić muzykę i po staropolsku ugościć, bo żyd tego nie zrobi, chociaż już jego jest zboże.

Smutno mi się zrobiło i poszedłem do drugich pokoi, aby nie słyszeć wesołej piosenki, śpiewanej przez wracających z pola ochoczych i pracowitych żniwiarzy.

„Gojochlapes“.

Stałem pewnego dnia przed dworem i rozmawiałem ze swym pachciarzem, gdy podszedł do mnie wędrowny druciarz i ukłoniwszy się, zaczął po słowacku zachęcać do nabycia pułapek na myszy, wynosząc ich niezwykłe zalety.

— Gajweg! Dy szwarc jur, dy blinde cyge, dy żelone małpe! — zawołał mój pachciarz, Mordko Zauwel bon Mojsie Feinpikes, odpychając druciarza.

— Magar ember! (Madziar człowiek) Bassem terenticzym! (przekleństwo węgierskie) — zawołał druciarz i odpychając od siebie pachciarza, zwrócił się do mnie:

— Niech sem wielmożny dedic ne pozwala temu parchu, pejsatemu żydowi na mnie kryczyt, bo ja sem jemu zadratuju tak gembu, że sem żaden czertowski dratynec ne oddratuje; a sem z jeho pejsaków wykręcu szpagatówku i powiszu jeho na suchyj werbinie, że sem raz jedyny nohami podrygnie, sem ślipiami ne morgne i sem swym językiem ny razu ne chlapnie!

Poleciwszy druciarzowi z towarem pójść do mej żony, zwymyślałem Mordkę za jego niewłaściwe zachowanie się, a wreszcie spytałem się go, za co on tak krzyczał na druciarza.

— Widzi wielmożny pan — rzekł Mordko — ten druciarz jest z Austrji i on nie powinien do Polaka, jakim jest wielmożny pan, mówić po polsku, albo tym swoim cudackim językiem.

— Dlaczego? — zapytałem zdziwiony.

— Dlatego, że on powinien mówić językiem „esperanto". Teraz wszystkie ludzie, a także i Polaki będą mówić językiem „esperanto", jak uradzili na zjeździe w Krakowie.

— Cóż to za język? — zapytałem.

— Widzi wielmożny pan, teraz na świecie były różne narodowości i każda narodowość gadała swoim językiem. A że my, żydki, wszystkich języków ich nie rozumieli i przez to trudno nam było prowadzić różne geszefty i spekulacje, więc znalazł się bardzo mądry człowiek „od naszych", który powiedział tak:

— Na świecie nie powinno być tak dużo narodowości. Powinni być tylko nasze żydki i goje! Aby tych gojów złączyć w jedną narodowość, to ja wymyśliłem dla nich taki język, coby oni nim gadali i coby my, żydki, tych gojów rozumieli. Ten język ja nazwałem „esperanto", co po żydowsku znaczy „gojochlapes".

Wszyscy się dziwowali jego mądrości i zrobiła się ogromna radość i krzyk na cały świat. A najwięcej się uradowali Polaki i prosili tego „cadyka“ od „esperanta“, aby on przyjechał ze swymi „małamedami“ i „magedami“ do Krakowa, by ich nauczyć tego języka. Jak on przyjechał z całym kahałem i nauczył ich tego języka „gojochlapes”, to te Polaki poczęstowali go faszerowanym szczupakiem, chałą i „pesachówką“, zrobili ogromną „pikes-zabawę“ i prosili go, aby w Krakowie pozostał na pokomornem. A gdy ten „cadyk“ nie chciał, to oni go prosili, aby po długiem swem życiu, pozwolił siebie po śmierci pochować w Krakowie na „Fajwel“. Potem pojechali deputaty do niejakiego p. Paderewski, aby on sobie zabrał ten pomnik króla Jagiełło, co go postawił w Krakowie i na jego miejsce postawił pomnik dla „cadyka“ od „esperanta“.

— Na jakim „Fajwel“?! — zapytałem. — Może na Wawelu?

— Widzi wielmożny pan, Polaki wszystko wykręcają. Król Kazimierz mieszkał z żydówką Esterką na zamku krakowskim; miał ministra, wujaszka Esterki, co się nazywał Fajwel. Po jego śmierci — ta Esterka prosiła króla, aby nazwał ten zamek na pamiątkę jej wujaszka — „Fajwel“. Więc on się nazywa „Fajwel“, a nie Wawel.

—*—

Kłębią się chmury.

Poranek.

As, mój towarzysz polowania i wierny przyjaciel domu, chlapnąwszy uszami, zerwał się z dywanu i zaczął łapami ściągać ze mnie kołdrę.

Podniosłem się z łóżka, ubrałem się szybko i, poleciwszy w myśli duszę Bogu, ciało ziemi, serce żonie, wspomnienia Kasiom i Marysiom, majątek swój ziemski i Lucyfera piekielny memu pachciarzowi, wybrałem się w pole.

Kopanie kartofli.

Szare wały chmur ciągną się jeden za drugim, gniecie jeden drugi, potem się kłębei i znów tworzą się wały i wały... Gdzieniegdzie prześwieci błysk słońca, za chwilę gaśnie, gdy szare wały chmur kłębią się i zasłaniają ożywczy promień światła.

Kiwa się jedna i druga dziewczyna z motyką, jak mój pachciarz nad talmudem. Nie

słychać świergotu ptasząt, nie płynie piosnka mazowiecka, a tylko wiatr jesienny porusza pożółkłe liście kartoflanej łodygi.

Siedząc czas jakiś na kopcu przy drodze, ujrzałem jadącego w biedce pachciarza.

— Dzień dobry wielmożnemu panu!—zawołał pachciarz Mordko Zauwel ben Mojsie Feinpikes, gdy, zlazłszy z biedki, podawał mi listy i gazety. — Jaka to przyjemność jest dla mnie, że widzę wielmożnego pana tak rano wstałego i pilnującego gospodarstwa. Ja też bardzo często nawet po nocach jestem zajęty, a odpoczywać dopiero mogę w piątek na wieczór.

— Jakież ty masz zajęcie, że taki jesteś zapracowany? — zapytałem.

— Handel! — rzekł Mordko i zaczął czegoś szukać w grochowinach biedki i przekładać różne paczki i butelki.

Tymczasem ja zacząłem przerzucać gazety, a uderzyły mnie szczególnie artykuły *Narodu* p. t. „Szkodliwa robota“, „Z powodu wystąpień *Polaka-Katolika*“ i „Czy słuszne“?.

Zwróciwszy się do pachciarza, opowiedziałem mu w krótkości treść tych artykułów i radziłem, aby sobie zaprenumerował *Naród* jako pismo, zdaniem *Polaka-Katolika* — filosemickie.

— Niech jemu bebechy zabolą, niech mu wątroba spuchnie, niech mu język kołkiem się wykręci za to, co on zrobił napaść na *Polak-Katolik*, a prenumerować taką gazetę to tylko

może wielmożny pan dla śmiechu i pańskiej fanaberji.

Zdziwiło mnie to, że żydek tak broni tej gazety i spytałem się go o powód tego.

— Widzi wielmożny pan — rzekł Mordko — *Polak-Katolik* zrobił bardzo delikatną grzeczność, że darmo ogłosił w artykule naszych bogatych żydków, sprzedających piękne towary, za co my, żydki, jesteśmy mu bardzo wdzięczni. Ja wielmożnemu panu mówiłem, że moje zajęcie jest handel. Handel to jest wszystko! Handel to jest rzecz jedna we trzech osobach! A te osoby są: żydek, towar i pieniądz! Tam, gdzie jest żydek, a niema towaru i pieniędzy, tam niema handlu; a tam, gdzie jest żydek i towar, a niema pieniędzy — to już niema co myśleć, aby był handel: Ale że w Polsce najwięcej pieniędzy mają żydki, to mają i towar — więc jest i handel.

Po chwili Mordko, poprawiwszy na głowie jarmułkę, pogładziwszy brodę i przymrużywszy jedno oko, tak zaczął mówić:

— Dla różnego przeznaczenia rodzą się ludzie: Dziedzic rodzi się dlatego, aby miał dubeltówkę, pies, konie, parobków, dziwki i dla dzieców guwernantkę; chłop rodzi się, aby miał pług, bronę, zdrowe ręce do roboty, graniastą krowę i babę do obierania kartofli; a żydek rodzi się dla handlu. Ja wielmożnemu panu jeszcze to powiem, pod wielkim sekre-

tem, że i państwo by mogli handlować, ale tego nigdy nie będzie. Japończyki byli słaby naród i każdy im dokuczał, ale oni się uczyli od swych wrogów, sprowadzali od nich różne towary, armaty, okręty i potem zrobili się mocni, że cały świat się zadziwił. U państwa gdy chcą założyć handel i uczą się od żydków — to robi się krzyk. Ja już nieraz wielmożnemu panu mówiłem, że do handlu trzeba mieć pieniądze i dobrą głowę; a do tego powinna być u państwa oszczędność, akuratność i zgoda!

Oddawszy pachciarzowi gazety, aby zawiózł do dworu, udałem się w pole i, zadumany, spojrzałem na niebo:

Szare wały chmur ciągną się jeden za drugim, gniecie jeden drugi — potem się kłębią i znów tworzą się wały i wały. Gdzieniegdzie prześwieci błysk słońca, za chwilę gaśnie, gdyż szare wały chmur kłębią się i zasłaniają ożywczy promień światła.

Tak i prasa nasza nieraz się kłębi i szarym wałem zasłania jakiś promyk narodowego odrodzenia! — pomyślałem sobie i zwiesiwszy głowę, zawróciłem do dworu.

Kandydat na posła.

Kilka dni temu siedziałem przy biurku, zajęty rachunkami gospodarskimi, gdy wszedł do pokoju mój pachciarz. Ubrany był w atłasowy chałat, przepasany jedwabnym pasem, na głowie miał aksamitną jarmułkę, pejsy misternie skręcały mu się na kształt korkociągów; z kieszeni wyglądała duża fularowa chustka i porcelanowa fajka o kręconym cybuchu. Ukłoniwszy mi się i przybrawszy uroczystą minę, rzekł:

— Wielmożny pan kiedyś mi mówił, że największym przyjacielem człowieka jest pies i rubel. A ja znów powiem tak: jeżeli pies zdechnie i rubel się rozejdzie, to kto będzie dla wielmożnego pana przyjacielem?

— Bo ja wiem? — rzekłem po namyśle.

— Ja na to odpowiem: największym przyjacielem dla wielmożnego pana był, jest i będzie — wie wielmożny pan kto?

— Któż taki? — zapytałem.

Tu żyd uśmiechnął się znacząco, przymrużył jedno oko i, pochyliwszy się do mego ucha rzekł tajemniczo:

— Największym przyjacielem jest jego pachciarz, Mordko Zauwel ben Mojsie Feinpikes! On da pieniędzy, on dobrze poradzi i on chodzi koło wielmożnego pana jak mamka koło dziecka. A że dla dobrego przyjaciela niczego się nie odmawia, więc i ja też chcę prosić o jedną przysługę.

— Jakąż? — zapytałem.

— Ja chcę prosić, aby wielmożny pan kazał Maciejowi założyć do karety cztery konie, włożyć liberję, założyć na bat pukawkę i aby Maciej w tej karecie odwiózł mnie do miasta.

— Po co? — rzekłem zdziwiony.

— Widzi wielmożny pan, dziś będą wybierali wyborców, którzy znowu wybiorą posła do Dumy, a że mnie nasze żydki zrobią wyborcą, to może też potem ja zostanę posłem, więc mnie wypada jechać w karecie, aby nie było wstydu dla mnie i aby był honor dla wielmożnego pana, że ma takiego bogatego i mądrego pachciarza.

— Psia krew! Do czego to dochodzi! — pomyślałem sobie i zapytałem żyda:

— Nie wiadomo, czy cię, Mordko, wybiorą? Tam przecież będzie więcej wyborców.

— Tam będą wyborcami: pan Hulajski z Kaczych Dziobów, pan Krzywołapski z Wyrwidołków, pan hrabia z Mysiej Dziury, dwanaście żydków i ja między nimi. Pan Hulaj-

ski na posła nie pojedzie, bo on ma jechać w tym roku z jakąś artystką do Ostendy i Monako; pan Krzywołapski też nie pojedzie, bo się boi komornika, aby mu przez ten czas nie zlicytował majątku; pan hrabia też nie pojedzie, bo jego żona powiedziała, że on sam trzyma lokajów i hrabiemu nie wypada być lokajem i posłańcem od chłopów, mieszczan i robotników; a ponieważ ze wszystkich innych miast do Dumy pojadą żydki, to oni uradzili, aby posłem był jeden pachciarz i dlatego mają wybrać mnie.

— A cóż ty, Mordko, tam w Dumie będziesz robił? — zapytałem, śmiejąc się serdecznie,

— Ja będę w Dumie żądał, aby nam oddali w zarząd monopole, żeby gorzałka staniała, bo chłopy mało zaczynają pić; będę żądał aby można było pożyczać pieniądze na większe procenty, bo chłopi i dziedzice ciągle potrzebują, a pieniędzy brak; będę prosił, aby w każdej wsi była karczma i żydowskie sklepy, bo chłopy drą buty i ochwacają kobyły, jeżdżąc ciągle do miasta; będę prosił, aby rząd kazał trzymać każdemu dziedzicowi pachciarza, bo wielu potrzebuje na gwałt pieniędzy i nie może prędko dostać, a bez oka pachciarza rządcy, ekonomy i parobki co chcą, to robią z dziedzicami, i na ostatku będę prosił, aby rząd nakazał księżom pilnować kościołów, a nie wtrą-

cać się do żydowskich interesów, handlu i różnych spekulacji, bo przez to i nasz proboszcz już mi siedzi w gardle, jak ość od szczupaka!

— Życzę ci szczęścia i powodzenia, kochany Mordko — rzekłem. Ale na końcu zadam ci jedno pytanie: Czyś ty czytał Biblję?

— Czytałem — rzekł żyd.

— Otóż tam, w Biblji jest napisane, że Eljasz do nieba jechał na ognistym w o z i e.

— No to co? — zapytał żyd.

— To ty, kochanku, jako zwyczajny pachciarz, też na wybory nie możesz jechać karetą a w o z e m lub biedką.

Rzekłszy to, kazałem mu wyjść z mieszkania.

Nowa Jerozolima.

Pewnego dnia, przechodząc koło domu pachciarza, zobaczyłem, jak Mordko Zauwel ben Mojsie Feinpikes, otoczony swemi dziećmi, rozdawał im orzechy i „makagigi“ i uśmiechał się wesoło do swej żony, Sury Ruchli.

— Kłaniam się wielmożnemu panu, kłaniam się, jako przyjaciel swemu dobrodziejowi! — rzekł żyd.

— Widzę, że dziś, Mordko, jesteś w dobrym humorze!

— Jak ja mam nie być w dobrej wesołości i szczęśliwości, kiedy dopiero wróciłem z takiego miasta, co jakby z samej Jerozolimy!

— Z jakiego miasta? — zapytałem.

— Z Warszawy! — odparł Mordko. — Jak państwo jadą do Paryża, to się cieszą, jakby jechali do samego nieba; jak nasze chłopy jadą do Częstochowy, to też mają wielką kontentność, a jak żydek jedzie do Warszawy, to jemu się zdaje, że jedzie do Jerozolimy!

— Przecież Warszawa a Jerozolima to różnica! — odparłem.

— Ja sam wiem, że jest różnica — rzekł Mordko — ale taka, że jak dawniej w Jerozolimie było dużo żydków, a teraz tam jest ich mało, to w Warszawie było dawniej mało żydków, a teraz same pejsaki! Cały świat wie, że Warszawa, to jest nasze miasto. Aj waj! Jaką ogromną radość ja miałem, widząc tylu żydków! Jakie oni tam mają pałace, sklepy, bóżnice! Ja tu, na wsi, jestem jak biała owca między wilkami i ciągle tylko słyszę: „Mordko, daj pieniędzy! Mordko, pisz prośbę do sądu! Mordko, bądź świadkiem! Mordko, daj gorzałki“! Ja ciągle ludziom wygadzam, a oni często na mnie narzekają. A w Warszawie to ja miałem przyjemność widzieć tyle żydków, co każdy miał taką głowę, jak piętnaście łbów na jednym karku. Tam się robią spekulacje! Tam ładne geszefta! Tam są ryzykanty! Mój handel, to tylko śmiecie! A tam takie potrafią wykręcać interesy, co cały świat się dziwuje!

— Właśnie też, że robicie takie interesy i chcecie zabrać wszystko, to my też chcemy się bronić i podnieść nasz handel i przemysł!— rzekłem.

— Jak państwo nam nie dają sami, to my tego nie zabierzemy. Tak i państwo naszego handlu nam nie zabiorą, bo do nas on należy, jak o tem nieraz mówiłem. Dziedzic handlować nie będzie, bo ma tyle zajęcia, że sam często nie wie, co robić, a do tego dzię-

dzic lubi pieniądze wydawać, a nie składać; chłop nie będzie handlować, bo on umie tylko liczyć kołki w płocie i nie ścięte dworskie chojary; robotnik też nie zdatny do handlu, bo ma za ciężką rękę do liczenia pieniędzy i sam robi bokami, a reszta ludzi, co by chciała handlować, to nie potrafi, albo też nie ma pieniędzy.

Ja powiadam to, że nigdy nam państwo nie odbiorą handlu, jak mnie wielmożny pan żywego widzi i żebym tak zdrów buł!

— Dlaczego? — zapytałem.

— Dlatego, że odebrać nam handel to tylko mogą gazety na papierze, ale państwo potrafią nam tylko dawać, a do odebrania potrzeba innej głowy.

Niech wielmożny pan tylko pojedzie do jakiego chce miasta, u nas, na targ, to zobaczy kupę bab i żydówek, kupujących od nich kury, jajka i masło; zobaczy pełno chłopów po żydowskich sklepach i szynkach; zobaczy dziedziców, chodzących tylko z żydkami i usłyszy, jak wszyscy słuchają się nas i wierzą, że my jesteśmy stworzeni do handlu, a kto temu nie wierzy, to jest „apikojres“ (człowiek bez wiary).

Prawdziwy Turek.

— Gewałt! Gewałt! Gewałt!... Mame! Mamełe!

Przeraźliwy krzyk i gwałtowne szczekanie dworskich psów poruszyło wszystkich domowników.

Zerwałem się od stołu, wybiegłem przed ganek i oto ujrzałem biegnącego w stronę dworu mego pachciarza, a za nim jakiegoś Turka.

Mordko Zauwel ben Mojsie Feinpikes wpadł na ganek i upadł jak długi na podłogę, a biegnący za nim Turek, ujrzawszy mnie, zatrzymał się o kilka kroków.

Wyciągnięty na ganku Mordko trzymał się ręką za wątrobę, oczy zaszły mu mgłą, brzuch wydymał się jak miech kowalski. Po chwili pachciarz mój, rozdziawiwszy szeroko gębę, zaczął zawodzić:

A... A... A... Aj waj! Zabił! Zabił!

Kto cię zabił? — spytałem.

— Turek!

Chcąc nareszcie zrozumieć co się stało, zbliżyłem się do owego Turka z zapytaniem, a ten, zdjąwszy fez z głowy, rzekł:

— Widzi wielmożny pan, ja nie jestem żaden Turek, tylko najstarszy syn Mordki, Chaim Josel; ja tu dawno nie byłem, a teraz, kiedy zobaczyłem na drodze swego „tate“, to leciałem go przywitać, a on z krzykiem zaczął uciekać ode mnie.

— Mordko nie bój się! To twój syn! — zawołałem.

— Mordkełe! Ałte pisk! Kimnereje! — zawołał Chaim Joseł.

Mordko, usłyszawszy głos syna, powstał z podłogi i już uśmiechnięty podszedł do niego. Długo oni ze sobą szwargotali, a ja poszedłem na ganek i czekałem, co dalej będzie.

— Gaj! gaj nach chałupe! — zawołał nareszcie Mordko i, odprawiwszy do domu syna, podszedł do mnie.

— Niech wielmożny pan się nie gniewa, że była taka niedelikatność i przytrafunek, ale ja myślałem, że to jest Turek.

— No to cóż by było, gdyby to był Turek? Przecież by cię nie zabił.

— Co wielmożny pan mówi?! — rzekł Mordko. — Teraz Turki biją się ze wszystkimi, to ja miślałem, że jeden z nich ze złości się wściekł i przyleciał do nas zabijać pachciarzy?

— Poco się twój syn przebrał za Turka?— zapytałem.

— Widzi wielmożny pan, teraz są takie napastniki, co nie każą kupować u żydków, to mojego syna, co mieszka we Warszawie, namówili „litwaki", coby on się przebrał za Turka i sprzedawał towary.

On to zrobił i wszyscy kupowali od niego. Teraz to on jeździ z towarami po wsiach. Jego wszyscy po wsi oglądają i dziwują się, bo żydka to oni widzieli, a Turka jeszcze nie i bardzo kupują jego towary. On ma różne towary: chustki, tabakierki, titiuń, tureckie gorzałkie, anodyny, obwarzanki, makagigi i inne łokciowe towary. On był nawet u naszego proboszcza; proboszcz kupił od niego chustki, tabakierkę i okulary, a organista też kupił różne rzeczy, — ale gdy chciał się targować, to on mu mówił, że zostawił w Turcji 15 żon i nie ma ich czem nakarmić. Wtedy organista złapał się za głowę i pytał się go, wiele on zapłacił za śluby od tych żon i czy on lubi jedną czy wszystkie razem; to organiścina zamykała mężowi gębę, dała mojemu synowi pocichu dwa złote i mówiła, co nie potrzeba się pytać o taki delikatny interes.

Po chwili Mordko zrobił smutną minę i tak dalej zaczął mówić:

— Ja bardzo jestem kontenty, co mój Chaim Joseł ma takie dobre „kepełe", ale mam dużą markotność, co te „litwaki" zgubią jego.

— Dlaczego? — zapytałem.

— Bo on już jest „akcyźnik“, jak nazywają na Litwie, bo pali pocichu w szabas papiesosy i nosi w miejsce jarmułki czerwoną turecką czapkę; potem on się zrobi wielki pan „szmendefernik“, bo będzie chodził w marynarkie, będzie jeść „chazer“ i pić szampańskie wino, a potem się zrobi „myszimed” (neofita) i wtedy będzie „ferfał dy klaczkies“.

Na ostatek ja żegnam wielmożnego pana i muszę iść do domu; bo tam się zejdzie cała wieś oglądać „Turek“, więc muszę przyrządzić gorzałki z anodyną i parę antałków piwa.

Państwo lubią szum.

Wsiadłszy na kasztana, pojechałem do lasu. Krwawo zajaśniały wierzchołki drzew od promieni wschodzącego słońca, a w szumie ich słychać było jakby płacz i bolesne westchnienia. Wjechawszy w las, po chwili usłyszałem trzask i głuchy jęk, a potem głośny wykrzyknik: „Sygit! Szajne chojak“! Podjechałem bliżej i ujrzałem leżącą na ziemi potężną sosnę, a koło niej stał pomiędzy ludźmi uśmiechnięty pachciarz mój, Mordko Zauwel ben Mojsie Feinpikes.

— Padłaś pod żydowskim toporem, potężna sosno! — pomyślałem sobie. — Byłaś ty świadkiem różnych wiekowych zdarzeń; byłaś ulubienicą ptasząt, w konarach twych igrała swawolna wiewiórka, a w twym cieniu może nieraz szukał człowiek ochłody! Być może, iż nieraz twe potężne konary wtórowały swym szumem cudnej pieśni, gdy zbrojne rycerstwo serdecznie śpiewało. A pieśnią tą była ta piękna, wspaniała, cudowna: „Boga Rodzico Dziewico, Bogiem sławiona Maryjo“!

— Oho! Już nie będziesz ty swym szumem budzić ptasząt do śpiewu! — rzekłem, smutnie pochyliwszy głowę.

— Nic, wielmożny panie, nie stoi próżno na świecie! — zawołał Mordko. — Jak kto straci bogactwo, to ma za to biedę; jak kto straci młodość, to ma starość; jak chłop zedrze buty, to ma za to dziury; tak i tutaj w miejsce szumu sosny — będzie świstał wiatr, a wielmożny pan prędzej zobaczy zająca, jak tu będzie gołe pole.

— Ale w każdym razie mogłaby ona długie lata szumieć w lesie, a nie płynąć, poćwiartowana, do Prusaków — rzekłem.

— Ja wiem, wielmożny panie, — odpowiedział Mordko, — że państwo lubią szum. Co nie szumi, to u państwa nic nie warto.

— Dlaczego? — zapytałem!

— Dlatego, że u państwa szum to taką ma wielką wartość, jak u nas brzęk.

— Cóż to ma znaczyć? — rzekłem.

— Ja zaraz to wytłumaczę: Jak u państwa chcą co dobrego zrobić, to zamiast robić pociehu, to państwo wpierw robią szum. Jak państwo się bawią, to musi być ogromny szum. Nawet jak państwo chcą się ochłodzić od tego szumu, to piją takie wino, coby też szumiało. Całe swoje życie państwo lubią szumieć, a w miejsce mądrych rzeczy i dobrych

interesów — to świszcze wiater. Przepraszam wielmożnego pana, co ja mu powiem. Przecież i ten kawałek lasu, co ja kupiłem, to jest dlatego, aby wielmożny pan pokazał innym dziedzicom, że jeszcze może szumieć i wesoło żyć. U państwa jest taki zwyczaj od maleńkości, że nikt nie może wiedzieć o biedzie drugiego, o jego potrzebach, bo to nie wypada. A taki człowiek, co by chciał od drugiego pomocy, to ten mu nic nie zrobi i często będzie się z niego śmiał. Jak tylko pan Krzywołapski i pan Hulajski dowiedzieliby się, że u wielmożnego pana niema szumu, to żaden by się tu nie pokazał. To by był wstyd żyć u państwa bez szumu. Ja jeszcze to wielmożnemu panu powiem, że i państwo czasem potrafią robić interesy pocichu. Jak bardzo już kto się wyszumi, to czasem idzie do proboszcza opowiadać pocichu o tym szumie, bo go już coś w środku gniecie. Ale najczęściej to państwo lubią cicho gadać i robić interesy z żydkiem. Żydek wszystko wysłucha, dobrze poradzi, dopomoże, będzie milczał jak ryba i państwo dalej mogą szumieć do tej pory, aż zrobi się z nimi tak, jak z tym chojakiem. Każdy lubi różne rzeczy: Wielmożny pan lubi szum, guwernantka nasza lubi czytać romansowe książki i śpiewanie słowika, Kaśka ze dworu lubi głaskanie Wojciecha, gajowy lubi tabakę,

a ja lubię brzęk, a ten brzęk, to jest od pieniędzy.

Ja mówiłem, że nic na świecie próżno nie stoi: W miejsce szumu sosny będzie tu świstał wiatr, wielmożny pan będzie dobrze widział zająca, a u mnie będzie w kieszeni brzęk.



Mordko polityk.

Żadna oblubienica — królewna nie osłoni swej zgrabnej kibici tak piękną przedziwnej białości i lśniącej miljonami brylantów szatą, jak nasza polska ziemia, gdy ją okryje śniegiem mroźna zima.

Mądrość Stwórcy nie pokryła zmartwiałej natury czarnym kirem żałoby, lecz śnieżnym całunem na znak radości i nadziei, aby rolnik wiedział, że ta nasza karmicielka powstanie ze snu cudnego i z pod białej szaty znów wychyli swe życiodajne piersi i znów one będą go karmić, jak było łońskiego i latosiego roku.

Oj, chrupie, śnieżek chrupie!
Siedź rolniku w chałupie!

Więc też po trudach i kłopotach gospodarskich ucieszyłem się, widząc padający śnieg i czułem, że członki moje odpoczną sobie przy kominku. Żeby zaś wiedzieć, co się na świecie dzieje, zaprenumerowałem wielki nasz polityczny dziennik. Gdy mi przynieśli z poczty sążnistej wielkości dziennik, ogromnie się uradowałem, że będę miał co czytać, dawną zaś gazetą, *Narodem*, kazałem chłopcu podpalić drwa

w kominku. „Wojna“ — napisane jest wielkiemi literami na pierwszej stronie dziennika. Czytam dalej: „Jak wiadomo czytelnikom z telegramów i sprawozdań naszego specjalnego korespondenta, kwestja na Bałkanach zaczyna przybierać formy przerażające! Ponieważ zdawało się, jakoby nigdy nic, a jednak zważywszy na stanowisko Bułgarów, nie będą też trudne do odgadnięcia dążenia Czarnogórców, pomimo tego, że Serbowie działają tak, jak to sama logika nakazuje. Grecja myśli o tem, aby połączyć to, co leży w strategicznej sferze działania. W każdym bądź razie, pominąwszy Kirkilissę, Marasz, Prisztinę, Weles i Lüle-Burgas, cała energja opiera się około Adrjanopola. Turcja patrzy się z punktu takiego, aby cała operacja, wynikła ze „status quo“, była taka, jakąby pragnęła dyplomacja europejska.

Bo jeśli tak. to i cóż, a jeśli nie — to i czegóż—myśli Austrja. Dyplomacja angielska wytknęła pewne punkty oparcia, lecz Francja, zapatrując się na palące kwestje odwrotnie proporcjonalnie w stosunku do odległości dążeń i zamiarów mocarstw, nie myśli wcale o tem, aby na Bałkanach było nie tak — gdy może być też i tak, jak jest wiadomo wszystkim dyplomatom.

W każdym bądź razie czytelnik zrozumie z powyższego, że działania mocarstw mogą doprowadzić nie tylko do pewnych powikłań, ale

też do zgodnych lub niezgodnych dążeń niektórych państw — czy to w działaniach militarnych lub pokojowych. Energja lub powolność działania może też wpłynąć dodatnio łub ujemnie na palące kwestje, bez których niema co nawet myśleć, aby mogło to wszystko przyjść do skutku lub chociażby tylko do pewnej możliwej perfekcji“.

Rznąłem dziennik o ziemię i złapawszy się za głowę, wybiegłem na ganek, aby odetchnąć świeżem powietrzem i nie dostać obłędu.

— To ci napisał, że sam djabeł go nie zrozumie! — pomyślałem sobie i ujrzawszy idącego koło dworu pachciarza, zawołołem go do siebie.

Przeczytawszy ten artykuł, zapytałem się, czy co z tego zrozumiał.

— Ja tylko to rozumiem — rzekł Mordko Zauwel ben Mojsie Feinpikes — że ta gazeta chciała napisać o wojnie, co jest na Bałkanach, ale oni sami nic nie wiedzą, co się tam robi, to piszą tak, aby tylko zakręcić głowę. Żeby oni się pytali naszych żydków, to oni by im wszystko powiedzieli. Ja sam wiem co się tam dzieje i będzie działo.

— Cóż takiego wiesz? — zapytałem.

— Widzi wielmożny pan, jak się dwuch chłopów bije — to jest kłótnia, jak ich się bije dwanaście — to jest wojna. Ja sam cią-

gle jestem jak na wojnie i ani razu nie miałem spokoju, tylko w szabas.

— Na jakiej? — zapytałem zdziwiony.

— Do mnie ciągle przychodzą chłopy na gorzałkę i ciągle się biją, a że to bicie już się dzieje ze dwadzieścia lat co dzień, to według mego porachunku już ładne parę tysięcy chłopów się pobiło. U mnie jest cała kanapa i krzesła wypychane włosami ze łbów chłopów, co sobie powyrywali, a zębów chłopskich mam tyle, że mógłbym nimi wybrukować drogę od dworu do mojej chałupy. Chłop do bitwy tak ciągnie, jak ryba do wody. A że przed biciem oni potrzebują gorzałki, to ja im daję i wielką mam przyjemność się patrzeć, jak brzękają na ich głowach butelki, a u mnie pieniądze w kieszeni. Z tej wojny, co jest na Bałkanach, to też nasze żydki zarobią ładne pieniądze. Nie było na świecie jeszcze żadnej wojny, aby żydki nie zarobili. Największe bankiery nasze zrobili pieniądze na wojnie. Gdzie słychać strzelanie z armat, tam u żydka słychać brzękanie pieniędzy. My nie lubimy się bić, ale bicie bardzo lubimy. My się nie boimy żadnej armaty, bo u nas najlepsza broń — to jest pieniądz. Kiedy Prusaki okręcili Paryż, to Rothschild się zapytał Bismarka, jak daleko jego granaty niosą. Bismark mu gadał, że mogą nosić jeszcze sześć wiorst za Paryż. Wtedy Rothschild mu odpowiedział, że jego granaty

niosą od jednego końca świata do drugiego, a to znaczy — pieniądze. Potem on dał Bismarkowi pieniądze na grochową kiszkę i bawarskie piwo i on odstąpił z artylernią i żołnierzami od Paryża. I teraz z tej wojny taka będzie korzyść, że wszystkie nasze banki będą miały piękną spekulację i ładny szabas.

Mordko — dyplomata.

„Suchoty, rak i wodna puchlina — to na doktorów język wypina“ — powiedział bardzo trafnie nieznany mędrzec. Lecz jest jeszcze cięższa choroba, trapiąca ludzkość, kpiąca sobie z kultury, sumienia, litości, spokoju i szczęścia narodów, a natomiast jak stugłowa hydra wysysa krew ludzką, pali i niszczy majątki i pracę ludzi, rozwala wspaniałe pomniki wieków, gasi domowe ogniska, rzuca w otchłań to wszystko co podniosłe, co powinna mieć dusza ludzka i stara się wszystkiemi siłami wzbudzić w niej wszystkie te instynkty, które widzimy w niższych drapieżnych stworzeniach. Tą straszną chorobą, zjawiającą się u ludzi, jakby na świadectwo tego, że ludzie daleko więcej posiadają w sobie złych instynktów, niżeli niższe od nich stworzenia — jest wojna.

Takie właśnie myśli przyszły mi do głowy, gdym zaczął czytać o wojnie na Bałkanach. Raz w gazetach piszą, że ma być pokój, drugi raz, że dalej będzie wojna, że Serbja chce portu nad morzem, że Bułgarja chce zabrać Turcji Adrjanopol, Grecja — wyspy, Austrja — Serbję. Czarnogórze — Albanję, Rumunja — kawał Bułgarji, a wielkie mocarstwa z ręką na szabli — dążą do tego, aby pogodzić te państewka. Jednem słowem na Bałkanach zrobił się bigos i niewiadomo co dalej będzie. Wiedząc zaś dobrze o tem, że mój pachciarz, Mordko Zauwel ben Mojsie Feinpikes jest dobrym dyplomatą, kazałem go do siebie zawołać, by mi to wytłumaczył:

Gdy Mordko przyszedł, opowiedziałem mu, co słychać na Bałkanach i spytałem się, co o tem myśli.

— Ja myślę to, że co na Bałkanaoh było, to gazety trochę o tem wiedzą, co jest — to wiedzą tyle, jakby nic nie wiedziały, a co będzie, to wiedzieli o tem dawno tylko żydek i Turek.

— Jak może żydek z Turkiem wiedzieć to, czego jeszcze nie było? Nie rozumiem cię! — rzekłem.

— Ja wielmożnemu panu to wytłumaczę: Wiadomo, że każdy semita ma dobrą głowę; a że żydek i Turek są semici, to ich główki wszystko wiedzą. Antysemita ma też głowę,

ale że w niej siedzi kapuściany liść, to on tylko wie to, co jego gazety i jak my temi gazetami zawijamy pieprz i śledzie, tak państwo zakręcają sobie niemi głowę. Ja nie radzę wielmożnemu panu czytać te gazety.

Po chwili Mordko, poprawiwszy na głowie jarmułkę i zakręciwszy pejsy, tak zaczął dalej mówić:

— Wiadomo wielmożnemu panu, że często przychodzą do mnie chłopy, aby sobie wypić. Ja im daję, bo mam miękkie serce. Jak oni sobie wypiją, to czasem kłócą się, kto ma płacić, częstc zbiją mi butelki i kieliszki i często ogromnie mi wymyślają: „Ty parchu! Ty szachraju“! — krzyczą chłopy i lecą z pięściami do mnie. Ja im wtedy tylko mówię: „Wojciechu, Andrzeju, Bartek! Sza! Ja wam coś powiem: Czemu wy nie krzyczycie u proboszcza, jak ciągle na was się gniewa i opowiada głośno o waszych grzechach? Wy tylko pozdejmujecie czapki i słuchacie jak kołki w płocie. A jak ja do was mówię z delikatnością: Mój Wojciechu, mój Andrzeju! Siadajcie sobie, wypijcie, pogadajcie. Czy wam dziedzic, albo proboszcz dał kiedy takiej dobrej gorzałki, jak ja wam daję? Jak ja wam wszystko robię, co chcecie, jak ja wam daję na kredyt, pożyczam pieniędzy, godzę was, świadczę za wami po sądach i siedzę między wami jak ojciec między dziećmi — to wy na mnie krzy-

czycie“! Wtedy chłopy drapią się po głowach, a ja im, biorąc kredę do ręki, mówię dalej tak: „Słuchajcie! Wyście Andrzeju z Bartkiem wypili dwie kwaterki — oto macie, piszę dwie kreski; potem wyście chcieli pić, a Bartek nie chciał — to znów piszę dwie kreski; potem wypiliście po trzy — to jest znów sześć kresek; potem was nie było, nie było i nie było— to macie znów sześć kresek; a teraz wypiliście dwie kwaterki — to razem mamy 18 kresek. Ale że wy jesteście dobre gospodarze, to ja wam trzy kreski mażę, to może mi kiedy przyniesiecie trochę grochu albo żyta, a za 15 kresek zapłacicie“.

Chłopy płacą, dziękują mi i dalej już kłócą się i biją między sobą. „Za coś wymyślał Mordce? Co on ci winien?“ — Tak jeden na drugiego krzyczy. Wtedy ja pocichu posyłam swoją żonę na wieś po ich baby i gdy te z kijami wypędzą swych mężów, to ja sobie siadam nad talmudem i czytam prawdziwe mądrości.

— Ale cóż to wszystko ma za związek z wojną na Bałkanach? — spytałem.

— Widzi wielmożny pan, ja to jestem jakby Turek, te chłopy to jakby Bułgary, Serby, Greki i Czarnogórcy, a te baby, to jakby duże państwa. Jak ja na chłopach zarobiłem i nic mi nie przepadło, tak i Turek nie odda Adrjanopola i jeszcze mu pożyczą pieniędzy. Jak

chłopy pobili się między sobą i z babami, tak i te państwa będą się bić między sobą.

Ale jak ja zmazałem chłopom parę kresek, tak i Turek da im jakie wydmuchy, ale nigdy Adrjanopol albo porty nad morzami. Zobaczy wielmożny pan, że za parę tygodni albo miesięcy wszystkie gazety będą gadać, co Mordko miał rację i dobre „kepełe“.

Spadek po ciotce.

Różnie, zapewne, ludzie przepędzili dzień Nowego Roku: jeden w smutku, drugi w radości. Jednakże ja przepędziłem dzień ten bardzo dziwnie. W dniu tym miałem duży smutek, radość, przestrach, rozczarowanie i pociechę.

Około południa otrzymałem gazety i listy, a pomiędzy nimi był list z żałobną obwódką. Rozumie się, najpierw otwieram trzęsącą ręką list żałobny i czytam następujące słowa: „New York d. 20 grudnia 1912 r. Kochany Przyjacielu! Smutną spełniam powinność, donosząc Ci o śmierci ukochanej ciotki Twej Katarzyny, która zostawiła Cię jedynym spadkobiercą majątku, wynoszącego około 30,000 dolarów. Podczas swej choroby bardzo często wspominała o Tobie, a ostatnie jej życzenie brzmiało: „Uściskaj i ucałuj moją“...

Przewracam list na drugą stronę i... wiecie państwo, co tam było dalej? Tam był kolorowany rysunek, przedstawiający cioci... nos.

Po ochłonięciu ze smutku na wiadomość o śmierci, radości—o spadku, przestrachu z rysunku i rozczarowania — pomyślałem sobie:

— To ten szelma Hulajski, sąsiad i przyjaciel od kieliszka, polowania i preferka taki mi urządził kawał, wiedząc, że jestem w ciągłych pieniężnych kłopotach!

Nic nikomu nie mówiąc, posłałem po mego pachciarza. Gdy pachciarz mój, Mordko Zauwel ben Mojsie Feinpikes przyszedł, wtedy ja, zrobiwszy płacząco-śmiejącą minę, opowiedziałem mu grobowym głosem o otrzymaniu listu z Ameryki i nakoniec pokazałem mu ten list, przeczytawszy zawartość jego.

— A co dalej pisze wielmożnego pana przyjaciel? — zapytał ucieszony Mordko — Kogo wielmożny pan ma ucałować?

—Dalej to ciotka prosi, aby ucałować drugą ciocię — rzekłem. Ale zresztą cóż ciebie może obchodzić rzecz czysto familijna? Powinieneś mieć pewną delikatność.

— Prawdę wielmożny pan mówi. Ja będę delikatny. Dla mnie dosyć i ta wiadomość, że ciocia zostawiła ładny majątek.

— Cóż mi z tego, gdy nie mam pieniędzy na koszty. Przecież ja muszę zaraz przeprowadzić przez konsula formalności, muszę wysłać do Ameryki swego adwokata, muszę chodzić, jeździć, starać się. A skąd ja wezmę pieniędzy? To dużo kosztuje! Potrzeba będzie ze 2,000 rubli!

— To już na to jest moja głowa, a wielmożnego pana gadanie i chodzenie za tem.

Ja w tej chwili jadę do Szmula Zająca, do Lejbki Szajnkopfa i do Moszka Ptaszka. To jest fajn interes! Takie ciocie — to jest fajn ciocie!

Rzekłszy to Mordko, nie czekał, co mu na to odpowiem i ukłoniwszy się, wybiegł z pokoju.

Na drugi dzień wieczorem Mordko z wesołą miną przywiózł mi pieniądze i prosił o rewers. Na rewersie napisałem następującą umowę: „Ja, niżej podpisany, winien jestem Mordce rb. 2,000 i tę sumę, jak będę miał, jak będę chciał, jak mi Pan Bóg dopomoże, to mu oddam może".

— Co wielmożny pan pisze?! — zawołał Mordko. — To widać z radości już wielmożny pan sobie żartuje z Mordki, ze swego przyjaciela!

— Więc jak mam napisać?

— Niech wielmożny pan napisze, że odda z procentami zaraz, jak odbierze spadek po cioci Katarzynie i doda mi jeszcze faktorne.

Zgodziłem się na to i, po napisaniu rewersu, otrzymałem 2,000 rubli.

Mordko, schowawszy rewers i zrobiwszy smutną minę, rzekł:

— Przepraszam za to, co ja wielmożnemu panu powiem: Bardzo mi jest smutno, co ta ciocia nie była żydówką i co te pieniądze zaraz do nas nie przeszły.

— Dlaczego? — spytałem.

— Bo ja wielmożnemu panu powiem coś pod sekretem. U nas w mieście mówił nam jeden przyjezdny „kellemer maged“ (narodowy kaznodzieja) o państwach, co przed każdym z państwa leży trup — to jest trup przeżytego przez państwa czasu. Kto ma trzydzieści lat, to leży przed nim trzydziestoletni trup, a kto ma siedemdziesiąt lat, przed tym leży siedemdziesięcioletni trup. Państwo ciągną wszędzie ten trup ze sobą. Państwo się bawią, hulają, wydają pieniądze, jeżdżą zagranicę, grają w karty, na loterji i w totalizatora, ale zawsze cały ten czas, co państwo żyją, to jest trup. Tak i te pieniądze, żeby oni u nas byli, to my byśmy zrobili duże „geszefty“, a u wielmożnego pana to będzie trup!

Rzekłszy to i pogładziwszy brodę, Mordko ukłonił mi się i z tajemniczą miną wyszedł.

— Może on ma i rację — pomyślałem sobie — ale w każdym razie mam pieniądze na ratę Towarzystwa, na karnawał dla żony i na dobrą butlę węgrzyna dla szelmy — przyjaciela Hulajskiego, z którym trzeba ją wysuszyć. Może przez ten czas czekania Mordki na spadek po mej ciotce poprawią się me gospodarskie interesy. Jakoś to będzie, że mu dług oddam, ale Mordko nie wie dotąd, że i spadek po mej cioci — to jest trup.

Państwa płacz—to nasza radość.

Mówią ludzie, że tylko w młodości zauważyć się daje prawdziwa wesołość i zadowolenie z życia, a szczególnie u młodych panien często igra na obliczu ten czarujący uśmiech tak mile oddziaływający na nas. Jednakże nieraz bywa tak, że po wesołości raptownie mogą nastąpić łzy lub spazmy. Takiej pogody duszy i wesołości, która by ciągle istniała w człowieku, jak dowodzą ludzie, niema wcale. Ja ze swej strony nie godzę się na to i powiem, że znam człowieka, który jest zawsze wesół, zadowolony z siebie i ludzi, zawsze uśmiechnięty, żywy jak iskra, milutki i ujmujący, więcej niż niejedna modrooka młoda piękność, a tym człowiekiem jest mój pachciarz, Mordko Zauwel ben Mojsie Feinpikes. Mordko jest zawsze wesół. Śmieją się jego oczy, śmieją się usta, końce śpiczastej brody, pejsy, jarmułka i cała postać, a ogólny ten śmiech jest otoczony jakby aureolą — zapachem cebuli. Mordko zawsze stara się oddalić odemnie kło-

poty i zmartwienia i tak zawsze rozweseli me myśli i potrafi dodać nadziei, że zapominam nieraz o wszystkiem, widząc jego wesołą twarz. I dziś właśnie, gdy od rana byłem bardzo zirytowany i myślałem, że wszystko złe na mnie się zwaliło, zjawił się przedemną uśmiechnięty Mordko.

— Cóż, u djabła, masz za naturę, że zawsze jesteś wesół?! — zawołałem.

— Jak ja mam być nie wesoły, gdy mam z wielmożnego pana przyjaciela i dobrodzieja, gdy handel idzie mi dobrze, żona moja i dzieci są zdrowe, chłopy mnie kochają jak ojca i żyję w takim kraju, co ze wszystkiego trzeba się śmiać.

— Czasem i płakać można — rzekłem.

— Są takie ludzie, co płaczą, ale nie żydki. Płacze dziedzic, jak nie ma pieniędzy; płacze chłop, jak mu zdechnie graniasta krowa; płacze żona naszego rządcy, jak nie ma nowego kapelusza; płacze nasza gospodyni, jak kura dostanie „pypeć“; płacze nasza Kaśka, co nie może teraz opiąć się dobrze gorsetem; a państwa gazety teraz znów płaczą, co państwo nie zakładają handlu i kupują u żydków. Ale z tego płaczu to u nas żydków tylko jest radość i śmiech.

— Dlaczego? — zapytałem.

— Widzi wielmożny pan, jak pada deszcz, to potem wszystko dobrze rośnie i następuje

pogoda. Jak u państwa płaczą, to z tego płaczu dla nas czasem wyrośnie korzyść i śmiech.

— Być może, że wy z naszego płaczu macie korzyść, ale co gazety nasze piszą, to mają rację. Powinniśmy zakładać sklepy, stowarzyszenia, kółka rolnicze, mleczarnie, szkoły, ochrony, wytworzyć swój przemysł i powinniśmy wzajemnie sobie pomagać, zrzeszać się, a hasłem naszem powinno być: „Swój do swego“!

— Ja wiem, co te gazety pięknie piszą, ale z tego pisania to jest tylko wiatr. Czy wielmożny pan myśli, co ja o tem gospodarzom nie gadam? Nieraz oni przychodzą do mnie i pytają się: „Co kochany Mordko słychać? Nam mówił p. Pukalski i ksiądz proboszcz, że w sąsiedniej gminie założyć mają szkołę, sklep i kółko rolnicze. Trzeba, aby i u nas to zrobić“.

Ja im na to mówię tak: „Czy wy wiecie, co to jest szkoła? W szkole uczą czytać, pisać i rachować i chcą w głowach waszych chłopaków wszystko poprzewracać do góry nogami tak, że oni potem nie będą umieli orać, bronować, siać, młócić i będą leżeć na piecu i czytać książkę; a bydło będzie lazło w szkodę, na polach będzie rosła pokrzywa i bieda będzie do was włazić drzwiami, oknami i kominem.

Czy wy wiecie, co to jest sklep? Sklep to jest na to, aby sprzedawać różne towary.

A jak wy będziecie handlować, to kto będzie chodził koło gospodarstwa? Czy wyście widzieli, aby kura znosiła gęsie jajka? Czy wasze dziadki zakładali sklepy? Co należy do żydka — to nie należy do gospodarza. Jak są gdzie sklepy katolickie, to one wam podadzą takie ceny, co was zatrzęsie febra i nic wam nie opuszczą, jak w aptece. A u nas możecie wytargować i damy wam często na kredyt.

Jakby nie było żydowskich sklepów, to funt soli płacilibyście po rublu. U katolików jak kto założy sklep, to jemu się zdaje, że jest wielki pan. Pójdźcie wy teraz do szewca katolika, to on już nie chce nazywać się szewc, tylko „bucikarz“; on wam zrobi buty z takiej cienkiej skóry, jak barani pęcherz i jak uderzyć mocno obcasem o klepisko, to but się wam rozleci, jak trociny. A pójdźcie wy do żydka szewca, to on wam nie pożałuje materjału i zrobi wam takie buty, co można w nie włożyć wiązkę słomy i jeszcze można w nim nogą wykręcić, jak świderkiem. A teraz wiecie wy, co to jest kółko rolnicze? Kółko to jest na to, aby wam zakołomącić głowę!

Oni tam sprowadzają różne sprężynowe brony, młocarnie, wialnie. Jak wy się podrapiecie w głowę ręką, albo widłami, to wszystko jedno, co wy będziecie drapać ziemię zwyczajną, albo sprężynową broną.

Żyto przez to nie zamieni się na przenicę a kartofel na kapustę. Tam w takiem kółku sprzedają sztuczne nawozy, t. j. takie proszki, co się nimi posypuje ziemię. Że te nawozy nic nie są warte, to jak mnie nie wierzycie — zapytajcie się swojej baby. Dawniej jak kto był chory, to mu puszczali krew, stawiali na brzuchu garnek; jak miał ciągoty, to go odkadzali, a teraz dają mu różne proszki i ludzi więcej umiera. Tak i teraz chcą, aby ziemia, posypana proszkiem, rodziła dukaty. Wasze dziadki sypali tabakę do nosa, ale żeby oni sypali proszki na ziemię, to jeszcze tego nie słyszałem.

Jak ja im to powiedziałem, to oni zawołali: „Ot, dziedzic ma swoją fanaberję, ksiądz nasz dobrodziej zawdy ma chęć dla nas dobrze robić, ale zawsze Mordko ma głowę; a wiadomo, że żydowska głowa, to nie nasza“.

Właśnie ja teraz wracam z jarmarku, gdzie sprzedałem wszystkie towary, a teraz jadę do Warszawy i przyszedłem się zapytać, czy czego nie trzeba kupić.

— Po co jedziesz do Warszawy? — zapytałem.

— Widzi wielmożny pan, p. Fikalski z Wilczych Dołów, co już robi bokami, to on mnie prosił na jarmarku, abym go ratował; to ja go chcę ożenić. Ja mam dla niego w Warszawie jedną pannę, co ma nagniot na plecach i ład-

ne pieniądze. Widzi wielmożny pan jakie ja mam dobre serce. A czy te gazety, co na nas piszą, wyratowałyby pana Fikalskiego i zrobiły takie szczęście dla tej panny? Co to gadać! To nie warto nawet zakręcać sobie głowy temi gazetami i kółkami. Na to trzeba mieć czas.

Pakciarze na tronie.

Jeden z ziemian z Wołynia nadesłał mi uprzejmie, za pośrednictwem redakcji *Narodu* list, w którym opisuje rozmowę ze swym pachciarzem, Chaimem. W liście tym ziemianin ów pisze:

„Kiedy memu pachciarzowi opowiedziałem o rozmowach, jakie pan prowadzi ze swym pachciarzem, „mądrym“ Mordką, wtedy Chaim rzekł: „Wiadomo, że każdy pachciarz ma dobrą główkę, ale ten Mordko jeszcze nie jest taki mądry, jak inni. On najwyżej tylko to wie, że koza daje mu mleko, a cebula, że rośnie w ogrodzie. Ale on nie wie o tem, że u państwa z dawności byli króle, co oni też byli pachciarze. Oni robili z Polakami umowy, co się nazywały „Pacta conwenta“ i doili całe królestwo. Dlatego powinno się mówić „pakciarz“ a nie „pachciarz“. Niektórzy z tych pakciarzy tak dbali o całość gospodarki krajowej, jak ja o majątek jaśnie wielmożnego dziedzica. Im więcej kto paktowego dawał, tem więcej sobie korzyści zastrzegał. Przy takich pak-

ciarzach najweselej żyło się jaśnie panom. Byli i takie pakciarze, co nie dbali o siebie, a tylko o Polskę. Zjawił się też jeden wielki pakciarz, co dawał bardzo dużo paktowego — to był Napoleon. On dał Polakom ogromne sumy, Bajońskie sumy i obiecywał jeszcze więcej, aby się tylko przy interesie utrzymać; ale, że to już było po licytacji, to umowa z tym pakciarzem się rozchwiała i on sam dostał w skórę za to, co drugim przeszkadzał w interesie. Teraz już niema takich pakciarzy, ale są pachciarze żydki, co oni też dobrze kręcą główką i robią dobre interesy dla przyjaźni i na pociechę dziedziców".

Gdy to opowiedziałem swemu Mordce, on na to odrzekł:

— Widać, że ten dziedzic jest mądry jaśnie pan, że trzyma tego Chaima. On wie dobrze o tem, że jak wóz bez smarowidła, tak dziedzic nie obejdzie się bez pachciarza. W Polsce z dawności byli żydki i było bardzo dobrze. Cały świat wie o tem, że Polaki bez żydków żyć nie mogą. A że teraz w Polsce robią napaści na żydków, to dużo rosyjskich i niemieckich gazet bardzo się gniewa na Polaków, że oni nie szanują żydków. Jak dzieci idą do ojca i on je karmi, tak i Polakom żydki wszystko robią. A za to jest niewdzięczność. Polaki tak dokuczają żydkom, że aż nasi pojechali na skargę do Francji. Francja wie co to ży-

dek. Ona miała swego Dreyfusa, to przez niego cały kraj miał sławę na cały świat. Tam, gdzie jest żydek — tam jest całe szczęście i pociecha! My wiemy, że w Polsce byłoby wszystko cicho i spokojnie; państwo by kochali żydków, ale my mamy takich wrogów, co niech ich morowy wiater zatrzęsie! Jak u nas pisze w „Megiłe“ — co Haman chciał zabić Mordkę, tak i te wrogi chcą zgubić żydków. A te wrogi — to są gazety.

Ale jak w „Megiłe“ pisze też, że Mordko został pierwszym ministrem, a Hamana powiesili, tak i tym gazetom język spuchnie.

U nas teraz na „Purym“ była wielka radość i czytali te „Megiłe“, a niedługo będzie jeszcze większa radość, jak nasze wrogi zginą. Wtedy będzie u nas piękna muzyka „mit a fideł, mit a bas“ i będzie ładnie śpiewać „Hasen“ (kantor) z ośmiu „Mysiojrem“ i „Maged“ powie nam ładne „Drusim“ (kazanie).

Te gazety na nas takie głupstwa i przewrotności robią, że niech im za to morowe bolenie ściśnie wszystkie bebechy, powykręca gnaty i złamie kark.

Te gazety to tylko zakręcają państwu głowę i nam od nich puchnie wątroba. Dlatego też my chemy od nowego roku założyć gazetę, co ona będzie się nazywać „Pachtes Zeitung“ i w tej gazecie będzie cała mądrość, jajaka potrzebna jest dla Polaków.

Na ostatku ja proszę wielmożnego pana, aby się pokłonił odemnie temu dziedzicowi z Wołynia i napisał mu, że jakby potrzebował czasem na porośnięte zboże pieniędzy, to Mordko mu da i jeszcze pożyczy nawet na 35$^{0}/_{0}$, bo dla takiego jaśnie pana warto mieć miękkie serce i coś opuścić.



Mordko ornitolog.

— Cip, cip, cip!.. Tiu, tiu, tiu! Dziubulki, tiutiulki moje!.. Taś, taś, taś!

Wychodząc ze stajni z karbowym, zobaczyłem na podwórzu gospodynię, Kokosińską, która, wołając ptactwo, dawała mu pokarm. Stada kur, gęsi, kaczek i indyków otoczyły ją wokoło i trzepotem skrzydeł oraz gęganiem i kwakaniem objawiały radość na widok swej dobrodziejki.

W tym czasie nadszedł mój pachciarz, Mordko Zauwel ben Mojsie Feinpikes, który pomagając gospodyni sypać ziarna, z radością przyglądał się jedzeniu i biegającemu wkoło ptactwu.

— Ja ogromną mam przyjemność patrzeć się na te ptaki i bardzo je lubię — zawołał Mordko, ujrzawszy mnie.

Zdziwiony, że mój pachciarz jest takim zapalonym ornitologiem, zapytałem się go o powód tego.

— Widzi wielmożny pan — rzekł Mordko — taka rzecz ma większe znaczenie, z której jest większa korzyść. Z konia mamy tylko skórę, z ryby — mięso, z bydlęcia — skórę i mięso, a z tych ptaków mamy mięso, pierze, szmalec i jajki.

U nas stoi napisane, że jak przyjdzie „Mysijech“ (Mesjasz), to my będziemy mieli wielką radość i nam dadzą „Lewijusyn“ — taką rybę, co ona jest skręcona i ogon trzyma w gębie i na niej stoi świat; będziemy mieli „Szore Bore“, to jest takiego byka, co on się pasie na siedmiu wyspach i zjada z tysiąca gór siano na jeden dzień, i będziemy jedli trzynaście gęsi, a jedna gęś jest taka duża, jak cały świat i ciągle z niej kapie szmalec. Z tego widać, że gęsi będzie najwięcej, bo to jest najlepszy ptak. A jeszcze ja wielmożnemu panu powiem, że dlatego ja tak lubię te ptaki, bo one mi przypominają Polaków.

— Cóż to znaczy? — zawołałem. — Nie rozumiem cię! Znów będziesz plótł głupstwa!

Mordko, podrapawszy się za pejsami i poprawiwszy na głowie jarmułkę, tak zaczął dalej mówić:

— Rabi Jehuda Hanassi Hakadosz napisał „Misznę“; amoroim: Rabi Ami i Rabi Assi, Eliazar b. Pedath, Abbahu, Reb Chija i Rabi Szym. b. Abba napisali „Talmud Jeruszalmi“; Rabi Aszy Marejmar i Rawina, napisali

„Talmud Babyle"; Szymon z Kairo i Rabi Jehuda Gaon napisali „Halachoth—Gedoloth"; Majmonides napisał „Myszne-Thora", czyli „Jad Hachezaka", Sefer Hamycwoth" i „More Nebuchim" i dużo jeszcze mądrych było u nas żydków! Ale niech wielmożny pan też o tem wie, że i jego pachciarz, Mordko Zauwel ma dobre „kepełe" i powiem jeszcze raz, że jak stoję na tem podwórzu, to widzę jakby całą Polskę. Kury, gęsi, kaczki i indyki, to są jakby Polaki — a nasza gospodyni — to jakby była żydek.

Te kury, co dziobią ziemię — są podobne do chłopów, co ciągle orzą i grzebią w ziemi, ta czubata kura — to wójt, a ten kogut — to gminny pisarz. Te gęsi — są podobne do robotników i jak z gęsi można mieć pierze, jajki i szmalec, tak i z robotnika można wyciągnąć jego pracę, bez której nie byłoby niemieckich i żydowskich dukatów. Ten kaczor, co tak kwacze, to jest jakby redaktor od antysemickiej gazety i jak on prowadzi kaczki do wody — tak redaktor puszcza kaczki na nas, żydków, w gazecie. Ale ja radzę wielmożnemu panu lepiej uwierzyć Łęczyckiemu Borucie, niż takiej gazecie.

— A indyków z kim porównasz? — zapytałem zdziwiony.

— Ten biały nadymany indyk z czerwoną kluką — to jest podobny do prezesa róż-

nych Towarzystw i klubów od wyścigów, samochodów, kart, totalizatora, baletu i kabaretów. Indyczki są podobne do naszych jaśnie pań, co należą do różnych Towarzystw dobroczynności i z wielkiego serca rozdają biednym wdowom i sierotom — chustki do nosa, pudełka zapałek do rozpalania zimą w piecach ognia, rozdają im cukierki, makagigi, orzechy, wykałaczki do zębów i pachnące mydła. A indyki, to są podobne do naszych dziedziców, co są przyjacielami i dobrodziejami dla swych pachciarzy.

Rzekłszy to Mordko, podszedł do stada indyków i krzyknął:

— A gite morgen, jaśnie wielmożni panowie!

— Gul, gul, gul, gul!... — wszasło stado.

— Widzi wielmożny pan, jak te indyki mnie witają i radują się, tak i dziedzice kochają i cieszą się z nas, pachciarzy i innych żydków.

— A cóż ma za podobieństwo gospodyni do żydków? — spytałem

— Jak ta gospodyni karmi te ptaki i potem skubie ich z pierzy, zabiera im jajki i piecze niektóre na rożnie, tak i my, żydki od chłopów, robotników, z gazeciarskich kaczek i dziedziców—mamy ogromne zyski, pożyczamy im na duże procenty pieniądze i urządzamy im dla wesołości często licytacje.

Po wizycie.

„Gość w dom — Bóg w dom“ — mówi przysłowie. Dlatego też i ja wraz z żoną byliśmy bardzo uradowani z przyjazdu p. Stanki, a przytem taki niezwykły i sympatyczny gość i do tego przybyły z samej stolicy, bardzo się rzadko zdarza w naszych stronach. Lżej mi się jakoś zrobiło na sercu, gdy mu opowiedziałem swe kłopoty gospodarskie i po jego wyjeździe znów byłoby szaro w naszem życiu, gdyby nie pewien przewrót w usposobieniu mojej żony.

— Słyszałeś, co ci p. Stanko mówił? Rozumiesz, co ci tłumaczył? Widziałeś jego ułożenie? Oj, ty żubrze rogaty! Nawet rozmowy przyzwoitej prowadzić nie potrafisz! Ciągle tylko plotłeś różne głupstwa: „Panie dobrodzieju! Ja bęc — a ten bryk! Wywrócił kozła, a As mu słuchy targa“! Co jego może obchodzić twoje polowanie? Potem mu plotłeś, że kasztan zwichnął nogę, że Zyzio już sylabizuje. Czy on jest weterynarzem lub nauczycielem,

aby go to obchodziło. Dlaczego mu nie mówiłeś, że całym gospodarzem to jest twój Mordko, żeś go zaraz po swem ożenieniu nie odprawił, aż cię osidlił? Dlaczego mu nic nie mówiłeś, żeś się dał Mordce opanować, żeś mu we wszystkiem wierzył i teraz masz kłopoty i zmartwienia? Taki człowiek, jak p. Stanko, napisałby chociaż o tem dla przestrogi innych, aby ratowali się, póki czas i wysyłali swych pachciarzy w krainy rosnącego pieprzu. Ale u ciebie ciągle w głowie siedzi tylko Mordko, a na języku: „Panie dobrodzieju! Ja bęc — a ten bryk"!

— Ależ Dziuniu! — zawołałem. Przecież ty też rządzisz domem! Co każesz, to się spełnia!

— Ja wiem, że się spełnia, ale nie tak, jak chcę i pragnę! Chcę po co posłać do miasta, to ty mówisz, że Mordko przywiezie; chcę prosić gości, to mówisz, że Mordko zawiezie zaproszenia; chciałam sprowadzić sobie okrycie i kapelusz, to mówiłeś, że Mordko po to pojedzie, bo ci mówił, że się dobrze wytarguje i ma dobry gust; chciałam sprowadzić guwernantkę do dzieci, toś ją sprowadził przez Mordkę i nic nie jest warta. Ty myślisz, że gdzie zobaczą twego Mordkę, to będą zazdrościć, że masz takiego pachciarza i pijawkę? Oni tylko będą się śmiać z twojej głupoty i niedołęstwa!

— Moja Dziuniu! To tak tylko z przyzwyczajenia — odparłem. — Przytem sama wiesz dobrze, że trudno mi obecnie wyrzucić go ze dworu! Ale chciałem cię zapytać, dlaczego ci się nie podoba guwernantka? Przecież to jest panna ułożona i jak widzę dobrze uczy dzieci.

— Ładnie mi ułożona! Ja wchodzę wczoraj do sali, a ta sobie śpiewa i gra na fortepianie, nie zwracając na mnie uwagi. Wchodzę do dziecinnego pokoju w czasie lekcji, a ta zamiast uczyć dzieci, pali papierosa i czyta jakiś francuski romans. Gdy jej zwróciłam na to uwagę, to ta mówi, żeś jej wczoraj dziękował za dobrą naukę dzieci i powiedziałeś, że je powierzasz jej, jakby swemu serdecznemu przyjacielowi, a teraz ja znów ją ganię! Rób sobie, co chcesz, ale ja muszę ją wydalić!

— Jak duszko uważasz — rzekłem. Pójdę pomówić o tem z Mordką.

— Ty ciągle lubisz ze wszystkimi mówić: Jak mówisz z parobkami, to słychać twój głos na całej wsi; jak mówisz z Mordką, to nic nie słyszysz koło siebie, tylko jego szwargot; jak mówisz z guwernantką, to smarujesz swój język miodem, a jak mówisz ze mną, to spuszczasz oczy i język ci się plącze. U ciebie tylko na myśli Mordko i Mordko. Oj! żeby to p. Stanko wiedział!

I teraz od wyjazdu p. Stanki nie mogę rozmówić się z Mordką w gabinecie, tylko na podwórzu, bo żona moja go nie wpuszcza, że czuć bardzo w pokoju cebulę (przedtem tego nie czuła), nie mogę go po nic posłać, bo żona sama jeździ do miasta; nie mogę od niego dostać czasem pieniędzy, bo żona surowo zabroniła dawać; teraz mi uroczyście oświadczyła, że w poście nie będzie ryby, bo też jej się przypomni Mordko, jako wielki amator ryb.

Z tego widać, że czasem najmilszy, najpożądańszy gość może przez swe szlachetne serce urządzić w domu taki bigos, że trudno go przełknąć.

W każdym bądź razie z całego serca, będąc wdzięcznym p. Stance za jego odwiedziny i rady, mam nadzieję, że one z czasem odniosą pożądany skutek i dobra pamięć o nim pozostanie w domu naszym.

—*—

Kapelusz za bilety tramwajowe.

Jako grzeszny chrześcijanin wiem dobrze o tem, że Pan Bóg stworzył i odkupił świat, ale wiem też dobrze o tem, że nie stworzył u ludzi wad, a między niemi: próżniactwa, łakomstwa, pychy i zazdrości.

Próżnuje moja służba i wzdycha przy pracy; łakomią się na grosz wdowi i żydowski warszawskie tramwaje, pyszni się z tego redaktor i redakcja *Narodu*, że nie trzyma u siebie żydka-pachciarza; zazdroszczą mi niektórzy sąsiedzi tegoż samego pachciarza, a nakoniec pyszni się żona moja z taktownego (właściwie nietaktownego) postąpienia redaktora i redakcji *Narodu*, oraz zazdrości mi tego, że każda Kasia i Marysia mówią o mnie w głos: „To dobry jasny pan“!

Takie myśli przyszły mi do głowy, gdym stał cichy i pokorny przed swą żoną, prowadzącą rozmowę z bladym i trzęsącym się mym pachciarzem. Dodać tutaj muszę, że pachciarz mój, Mordko Zauwel ben Mojsie Feinpikes od pewnego czasu, ujrzawszy mą żonę, traci na humorze.

— Po co cię pan posyłał do Warszawy?!— słodziutkim, lecz przenikającym głosem spytała się pachciarza moja żona.

— Po nasiona, po szczepy, po otwocki proszek, po kapelusz dla panny Broń... t. j. chciałem powiedzieć po kapelusz dla jaśnie wielmożnej pani dziedziczki i kazał mi wielmożny dziedzic wstąpić do redakcji *Narodu*, abym pokłonił się jej od niego.

— No i cóż? Przywiozłeś wszystko i byłeś w redakcji? — spytała żona.

— Przywoziułem tylko nasienie od morowy wiater z elektryki warszawskich tramwajów; pachnący proszek od ostatnich kawałków cebuli, co wziąłem z domu; w miejsce kapelusza — podartą czapkę od kłaniania się w Warszawie dziedzicom, a także bolenie swej wątroby z grzeczności i łagodności redaktora i redakcji *Narodu*. Do tego jeszcze przywoziułem ostatnie dwa grosze po groszu, co mi zostały.

— Cóż ci się takiego, Mordko, stało w Warszawie?! — spytała żona.

— Jak wiadomo jaśnie pani — każdy żydek koleją jedzie do Warszawy za 3 a najwięcej 3 złote i 1 grosz, a do tego zarobi jeszcze sobie w pociągu czasem parę rubli. Jak przyjechałem szczęśliwie na Pragę, to wsiadłem w tramwaj. Wziąłem bulet za 10 groszy i siadałem na ławkę, co na niej jest przyczepiony kawałek szmaty. Przyszedł kontroler, co my

żydki, jego nazywamy „Menelik“, i kazał mi dopłacić jeszcze 4 grosze. A że nie było miejsca na ławkę bez szmaty — to ja wysiadałem. Siadam do drugi tramwaj na ławkę bez szmaty, to drugi „Menelik“ każe mi wysiadać, bo bulet buł nie od tego tramwaju. Zapłaciłem dziesięć groszy z innymi żydkami za dorożkę i przyjechałem przed król Zygmunt, co koło jego słupa stoją cztery dziwki. Tam wsiadałem w tramwaj, zapłaciłem znów dziesięć groszy i przyjechałem na Plac Teatralny. Po chwili znów przyszedł „Menelik“ i każe mi dać drugie dziesięć groszy, jak chcę dalej jechać. Złość mnie ogromna wzięła i sam nie wiedziałem, co to jest. Przejechałem parę ulic w różżnych tramwajach i wydałem w parę godzin wszystkie prawie pieniądze. Idę dalej piechotą i kłaniam się różnym dziedzicom, a oni się uśmiechają i mówią: Jak się masz, kochany Mordko?! Cóż tam wasz dziedzic porabia?“! „Wielmożni panowie“! — mówię — „Dziedzic mój teraz płacze, co mnie nie widzi, a ja płaczę, co darmo mi giną pieniądze przez tramwaje i teraz już mi trzeba nie jechać tramwajem, a prosić „Menelika“, żeby mnie tramwaj przejechał! Jak ja jeździłem zagranicę, to jeździłem w dużych miastach za kilka kopiejek od rogatki do rogatki. Nawet z Kocka do Góry Kalwarji to ja płaciułem 15 groszy. A tu mi „Meneliki“ ciągle zrucają z głowy jarmuł-

kę przez swoje kręcenie się, brzękają dzwonkiem, wypychają za to, co siadam na ławkę ze szmatą, co 15 kroków każą dawać dziesiątkę i za pieniądze na sprawunki dziedzica przywiozę mu tramwajowe bulety“!

Jak ja to opowiedziałem i po co przyjechałem, to jeden dziedzic zaprowadził mnie najpierw do redakcji *Narodu*. „Tu wejdź, przedstaw się do redakcji, a ja na ciebie zaczekam“— powiedział. Zadzwoniłem do redakcji i zaraz wyszedł bardzo grzeczny pan i prosił mnie dalej. Potem przyszedł drugi pan, jakaś pociągłowata z ładnem okiem panienka i sam pan redaktor (jak mi powiedzieli potem). „Co miły pachciarz sobie życzy?“ zapytali się wszyscy. A tak się na mnie grzecznie patrzyli, jak tramwajowy „Menelik“ na „bulet“.

„Ja kłaniam się od swego dziedzica“! — powiedzialem. Wtedy oni wszyscy oglądali mnie na wszystkie strony, jakby mało żydków było w Warszawie i sam redaktor potem powiedział: „Niech miły pachciarz odkłoni się od nas swemu dziedzicowi i niech się prędko nazad spieszy do niego, bo nam tak miłych pachciarzy nie potrzeba, a dziedzic pewnie płacze bez niego“. Potem pan redaktor tak się na mnie z przyjemnością spojrzał, że od tej przyjemności wątroba mi się zatrzęsła. Jak wyszedłem z redakcji, to opowiedziałem o tem czekającemu na mnie znajomemu dziedzicowi, a ten

rzekł: „Jedź, kochany Mordko nazad do domu a radzę ci drugi raz nie jeździć warszawskimi tramwajami i nie wchodzić do takich redakcji, co nie trzymają u siebie pachciarzy!

— Masz teraz nasiona, masz szczepy i masz dla mnie kapelusz! Oj — ty, przyjacielu pachciarski! Wiosna już nadeszła i za tramwajowe bilety kupisz mi kapelusz! — zawoła moja żona, zwracając się do mnie, i trzasnąwszy drzwiami — weszła do swego pokoju.

Pewno się pożegnamy.

A no, niewesoło — myślę sobie — przeczytawszy pisma z ostatnich dni. — Żydzi chcą nas zjeść! Powiadają, że oni są panami naszych miast i miasteczek, a ponieważ stanowią ośrodki najbliższych okolic, powiatów, guberni, wreszcie kraju całego — żydzi więc mówią, że są panami naszej ziemi. Zobaczymy... Trzeba się jednak bronić, póki czas, bo może być zapóźno. Trzeba wytężyć wszystkie siły i plemię pasorzytnicze upokorzyć.

Gdy takie myśli zaczęły krążyć w mej głowie, usłyszałem w sieni ciche kroki, a po chwili we drzwiach pokoju ukazał się mój pachciarz, Mordko Zauwel ben Mojsie Feinpikes.

— Znów jakaś markotność zakręciła głową wielmożnego pana — rzekł, kłaniając się, Mordko.

— No, kochany Mordko! — rzekłem. — Niedługo się już rozstaniemy z sobą. Cały kraj jest mocno poruszony butą i wyzyskiem

żydów. Czas już zastanowić się nad tem. I ty, kochanku, jużeś dobrze mnie wyssał, a teraz pragnąłbym policzyć się z tobą i prosić. abyś był łaskaw opuścić mój majątek. Idź sobie do litwaków.

— To te gazety tak wielmożnemu panu pokołomąciły głowę! — rzekł żyd. To ja mam za swoją dobroć być wygonięty? Za co? Za to, co mój dziadek i wielmożnego pana dziadek, mój ojciec i wielmożnego pana ojciec, ja i wielmożny pan — byli przyjacielami? Za to co ja wielmożnego pana ratował? Na komornika —Mordko dał, na Towarzystwo — Mordko dał, na porośnięte zboże — Mordko dał, na karty — Mordko dał, na pannę Broncię — Mordko dał. Ciągle Mordko dawał, kręcił głową, latał, myślał, trudził się, a teraz za to ja mam być wygonięty?

Czy pan Hulajski, pan Bąkalski i pan Krzywołapski ratowali wielmożnego pana? Oni tylko jemu potrafili zjadać dobre obiady, wybić w lesie wszystkie zające, wypić wszystkie z piwnicy butelki i wypychać pieniędzmi od kart kieszenie. Ja wielmożnemu panu tylko to powiem, że jak Mordko stąd wyjedzie, to tu, we dworze będzie świstał wiater, na polach będzie rosła pokrzywa, a wielmożny pan nie będzie jechał karetą, tylko tramwajem w Warszawie i zamiast dzwonić kieliszkami, będzie dzwonił dzwonkiem w tramwaju na dorożki

i posłańców. Ja na końcu to powiem, że kto wypędza takiego przyjaciela, to sprowadzi sobie komornika, licytację i biedę. Ja wiem, co wielmożny pan tylko tak się śmieje i tego nigdy nie będzie, abym ja go opuścił. Ja radzę nie słuchać się gazet, bo teraz będzie wszystko bardzo „git“. My żydki, jesteśmy przyjaciełami dla państwa, chcemy się pogodzić i chcemy zamykać gęby tym, co o nas źle myślą. Dlatego też jak państwo sobie obrali Jagiełłę, aby pogodził Polaków z Litwinami, tak i my wybrali sobie też Jagiełę, aby pogodził państwa z litwakami. Polaki się bili z Litwinami, a teraz się kłócą z litwakami, ale jak oni się pogodzili wpierw, to pogodzą się i teraz. Jak państwo postawili Jagielle pomnik w Krakowie, tak my po zgodzie postawimy naszemu Jagiele pomnik na Muranowie w Warszawie. Ja jeszcze to powiem, że litwak — to jest takie drzewo, co się na każdym gruncie przyjmie, nie trzeba go sadzać z korzeniami, a można wsadzić tylko patyk i wyrośnie piękne drzewo i dla państwa ładne owoce.

Na ostatku ja proszę wielmożnego pana, aby rzucił tę markotność i jechał dziś na karty do pana Hulajskiego, na co ja mogę dać pieniędzy, bo już i mnie smutno się zrobiło i dziwuję się, co wielmożny pan tak siedzi i trochę się nie rozrucha ze swymi przyjacielami.

KONIEC SERJI I.

Cena kop. 50.